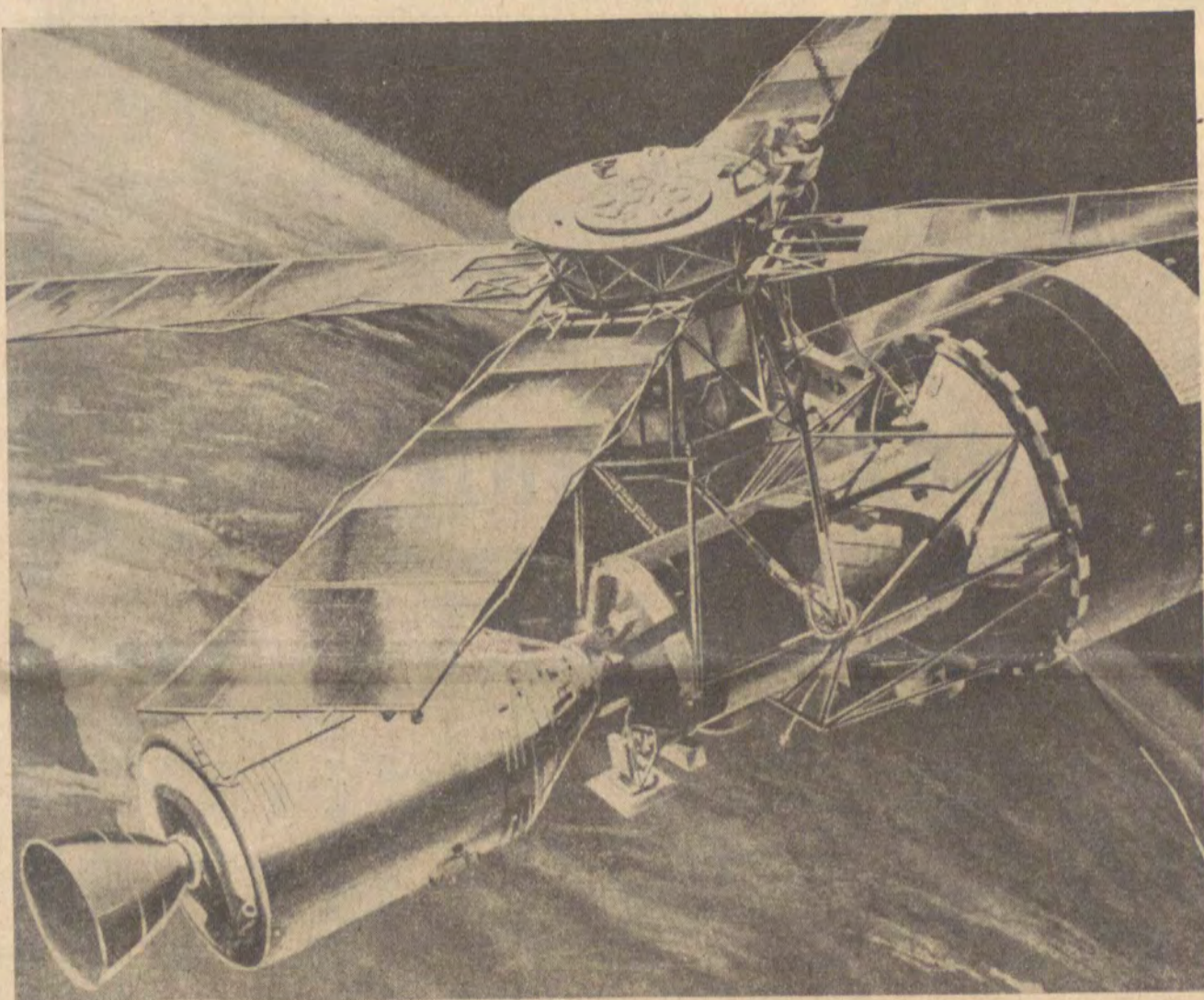




ODGŁOSY

SZANSA POWROTU — Zofia Tarnowska ► NIE Z PALCA WYSSANE — Krzysztof Pogorzalec ► BITWA POD STUDZIANKAMI — Jan T. Janicki ► JAN DEMBOWSKI — Ziemowit Miedziński ► CIENIE W RAJU — Erich Maria Remarque ► ZACZĘŁO SIĘ W DREWNIANEJ SZOPIE — Jerzy Wilmański ► PIŁKA JEST OKRĄGŁA — Bogda Madej ► DRUGA KOSMICZNA — Lucjusz Włodkowski ► WOJNA — Ryszard Binkowski ► LAS — fotoreportaż Włodzimierza Parysa ► POTWORY MORSKICH GŁĘBIN — Jerzy Czech ► OKNO — Marcin Rodak ► RECENZJE ► FELIETONY ► REPORTAŻE ► LISTY ► POLEMIKI



SCIENCE FICTION

KOSMOS

Czytaj na str. 8

Czytaj na str. 9

ANDRZEJ BLAJER

SYLWETKA ARCYSZPIEGA

PULLACH — małe, ciche miasteczko, odległe o kilka kilometrów od Monachium. Nie wyróżniałoby się niczym szczególnym, spośród okolicznych wiosek, gdyby nie... Właśnie. W zabudowanym jeszcze przed wojną kompleksie koszar przeznaczonych dla SS znalazła swoją siedzibę centrala zachodnoniemieckiego wywiadu BND (Bundesnachrichtendienst).

Od momentu powstania BND do 1968 roku kierował nią człowiek, który niewątpliwie należał do najbardziej tajemniczych a zarazem zniechęconych ludzi na świecie. Osoba ta był Reinhard Gehlen — król szpiegostwa. Karierę swoją rozpoczął jeszcze w III Rzeszy. Będąc przez długie lata oficerem Wehrmachtu w okresie wojny kierował wydziałem Abwehry: „Obce wojska — Wschód”. (Komórka utworzona

specjalnie do rozpoznania radzieckich sił zbrojnych i operacji przez nie prowadzonych). Po zakończeniu wojny — Gehlen nie rozwiązał poważnie rozbudowanej przezeń sieci agentów, uznał bowiem, że obecnie może się ona przydać komuś innemu — mianowicie Amerykanom. Nie pomylił się. Jego propozycja przekazania archiwów i całego aparatu do dyspozycji Stanów Zjednoczonych trafiła, na podatny grunt, rozpoczy-

nał się bowiem okres konfrontacji w stosunkach radziecko-amerykańskich i Gehlen ze swoją siatką mógł się tu okazać niezwykle pomocny.

Rozmowy w sprawie tej „sprzedaży” przeprowadzone z ówczesnym szefem CIA, Allenem Dullem, zostały niebawem sfinalizowane i w latach 1945–1955 szpiegowska machina Gehlena pracowała pełną parą pod amerykańskim protektoratem, w służbie „zimnej wojny”. W 1955 roku Amerykanie postanowili przekazać całą organizację wraz z jej szefem Niemieckiej Republice Federalnej. Rozpoczął się nowy etap w działalności Gehlena.

O Gehlenie, ukształtowanym przez Hitlera, finansowanym przez CIA można powiedzieć bez cienia wątpliwości, iż był mistrzem szpiegostwa

Dalszy ciąg na str. 4

TADEUSZ PAPIER

TESTAMENT

WIDZIAŁEM, jak Stary całował drzwi i okna swojego domu. Wyglądało to na pożegnanie. Mówił:

„JUŻ NA CIEBIE WYDALI WYROK ŚMIERCI, MOJA TY KOLEBKU, MOJE GNIAZDO. PRZYJDA, ROZWAŁA, WYWIOZA, DADZA ZA CIEBIE KILKA PAPIERKÓW TYSIĄCZŁOTOWYCH I TYLE TWOJEGO ŻYCIA”.

Stary płakał za domem, chociaż interes był dla niego korzystny. Za pieniądze, które odbierze, może sobie wystawić dom z cegieł.

KONKURS NA REPORTAŻ O ZIEMI ŁÓDZKIEJ (II NAGRODA)

Mówi Sekretarz: — Stary przysłał list w tej sprawie. Postanowiłem go odwiedzić. Stary jest związany z tym domem, tu bowiem upłynęło jego życie. Przed wojną wyjeżdżał na saksy do Niemiec. Jego syn poległ w czasie wojny. Był w AL. Stary pokazuje Krzyż Partyzancki syna i powiada — gdyby syn żył, nie dopuściłby do takiej niesprawiedliwości. Wnuk Starego chodzi do technikum.

Sekretarz współczuje Staremu. Ja także rozumiem jego niepokój. Przecież ten dom, który ma być rozebrany, narodził się z ciężkiej barówki. Przed wojną stał na tym miejscu inny dom, a właściwie buda, przykryta strzechą, która mówiła z daleka o biedzie. Już w styczniu zaczynał się tutaj przednówek. Wymieciona do ostatniego paprocha stodoła, wybite, pachnące drzazgi z podwórza, pusta, pachnąca starą stęchlizną komora, krowina porykuje z głodu, a Stary wyszarpuje gdzieś z boku kowiarkę ze strzechy, aby porządzić to na sieczkę. Rzecz jasna, że z pustego nie należy. Niejednemu by się serce ścisnęło na ten widok, gdyby nie to, że we wsi było więcej takich głodomorów. Bo jak bydlu nie ma co dać, to i człowiek dla siebie też nie ma. Stary usłyszał, że w pogranicznym miasteczku, Praszce, organizują wyjazd do Niemiec, zabrał się pewnego dnia, narzucił plecak na siebie, pożegnał się z żoną. Po raz pierwszy od wielu miesięcy pocałował ją w usta, aż się zachnęła ze zdziwienia. Było zimno, od zachodu dał wiatr, nisko przepływały chmury, gnały nad drzewami ciężkie, pierzaste jak wozy z sianem, wiatr je przerywał, rozrzucał siano po niebie. Ciężko było iść na tę wędrowkę! Czy za parę dni nie wypadnie wracać do domu? Jak się wówczas urządzić?

I oto już wylonili się dachy miasta, oto dał się słyszeć głos lokomo-

tywy i od strony Wielunia ukazała się niewielka maszynka z czapą czarnego dymu. Niepokojące wagoniki kolejki wąskotorowej wyglądały z daleka jak zabawka dziecinna. Stary uczył skurcz w sercu, bo w każdym z tych wagoników jechało dziesiątki takich jak on. Wkrótce pociąg znikł za kępą drzew, za domami. Widać było tylko smugę dymu płynącą w górę. Przed miastem zwolnił kroku. Ujrzał niewielką rzeczkę, strumyk wpadający do Prosnicy. Chłop usiadł chwilę nad rzeką, popatrzył na wodę, przegryzł chleba. Odpoczął i ruszył do miasta.

Ilu ludzi napchało się wtedy do Praszki! Może trzy, może cztery, może pięć tysięcy! Kto zliczy? Twarze młode, stare kobiety, mężczyźni, z tobołkami, plecakami, walizkami. Jak na jarmarku, ale gorzej, jeszcze, bo ludzie przepychają się, klną, biją, byle bliżej miejsca, gdzie urzęduje starosta wieluniński w towarzystwie urzędnika niemieckiego, przyjmującego ludzki towar. Nad miastem unosi się gwar i zgiełk. Pośród tej ciżby kręca się różni złodzieje i mściwicy, czyhają na okazję, upatrują ofiary.

Udało mu się wyjechać do Niemiec. Do uciulanej marki wystawił nowy dom. Ile poń, leż, cichych dramatów zostało w tych drewnianych ścianach! I oto teraz ten dom trzeba zburzyć. Nie tylko dom, ale wszystkie myśli, słowa, marzenia, rozmowy z sąsiadami, które odbywały się w tym domu.

— Powiadają — zawierza się Stary że pod tym domem, i pod rzeką, i pod łaką jest węgiel. Wygląda to na baśń o ukrytych skarbach. Strach bierze na myśl, w jaki sposób ludzie zmieniają świat. To, co było żywe, staje się martwe, a co martwe nabiera życia. Domu mi żal. Łąki i lasu

Dalszy ciąg na str. 7

ŻNIWA - 74

Bardzo mi się podobała wypowiedź jednego z rolników z Opolszczyzny, który zapytany, jak mu idą żniwa, powiedział, że jemu dobrze, ale w tym roku nie to jest ważne, bo w tym roku nie można żadnego zboża traktować jako moje, twoje, jego. W tym roku wszystko, co jest na polach — jest nasze wspólne i nie z tego zboża nie powinno pozostać na polach. Ukute kiedyś hasło przez młodzież wiejską: **KĄDZY KŁOS NA WAGĘ ZŁOTĄ** w tym roku nabrało szczególnego znaczenia.

Trudne warunki atmosferyczne spowodowały, że w tym roku nastąpiło opóźnienie wegetacji roślin, a za tym również spóźnienie prac żniwnych. W polskiej południowej i środkowej niemal jednocześnie przystąpiono do koszenia rzepaku ozimego, żyta i jęczmienia, co oczywiście nie wpływa na harmonijność prac. Pracuje się nie po 8 czy 10 godzin, a tyle ile trzeba, na ile pozwala pogoda. Na wielu polach, nawet, gdy zaczyna padać deszcz, zatrzymuje się tylko maszyny, aby przecześć opady i znów wziąć się do roboty.

Wielka polska zrozumiała, że tegoroczne żniwa wymagają koncentracji siły, współdziałania wszystkich rolników, współpracy z PGR, spółdzielniami produkcyjnymi, kółkami rolniczymi. Zrozumiano, że tego roku trzeba skutecznie niż kiedykolwiek pomóc tym, którzy sami nie dają rady, którym już wiek nie pozwala na gospodarzów tak skutecznie, jak czynią to młodzi.

Bywa więc tak, że pegeerowskie kombajny koszą na polach rolników indywidualnie gospodarujących, a później ci rolnicy przychodzą pegeerom z pomocą w pracach, które wymagają już nie maszyn a zwykłych ludzkich rąk. Bywa więc i tak, że wojsko przychodzi wsi z pomocą, a Ludowe Wojsko ma w tej dziedzinie bogate tradycje, bo toczyły się jeszcze walki z reakcją na wewnętrznym froncie, a żołnierze już odstawiali karabiny i przychodzili rolnikom z pomocą. Dzieje się też i tak, że z Fabryki Maszyn Żniwnych w Płocku ruszają bezpośrednio na pola kombajny „Bizon — super”. Codziennie taśmę produkcyjną opuszcza 10 kombajnów tego typu i po kontroli technicznej przekazuje się je prosto w ręce przyszłych użytkowników. Od początku roku nasze rolnictwo otrzymało prawie 1400 kombajnów typu „Bizon — super”, a na krajowych polach pracuje około 6100 takich kombajnów.

Dawno tak nie było, aby cały kraj interesował się żniwami jako problemem aktualnym nr 1. Żniwa były czymś naturalnym, czymś, co musi nieuchronnie nastąpić, a co zwiastuje zbliżający się koniec lata. Dziś żniwa znalazły się w centrum zainteresowania nawet zatwardziałych mieszczuchów, którzy przecież rozumieją, że od sprawnego przeprowadzenia prac żniwnych zależy powodzenie nas wszystkich w najbliższych miesiącach, zależy poziom naszego życia.

Walka o plony toczy się na polach całego kraju. Ale jak w każdym wytyczonym działaniu obok pierwszej linii, na której przebiega natarcie, ważne są też dalsze linie decydujące o powodzeniu całego przedsięwzięcia. Tak i teraz — latem 1974 roku — powodzenie akcji żniwnej zależy też od sprawności pracy ludzi obsługujących rolników, od zaopatrzenia wsi w żywność, napoje, artykuły techniczne, części zamienne do maszyn. I sądzę, że wszyscy rozumiemy wagę tegorocznych żniw i nigdzie rolnicy nie spotkają się z opieszałością, bałaganem i niedbalstwem czy lekkomyślnością.

A o tym, że żniwa są trudne i odbywają się w skomplikowanych warunkach niech świadczy fakt, że w tym roku sięgnięto po kosy, a nawet... sierp. Wyruszyły na pola konne żniwiarki, gdyż nie wszędzie mogą dotrzeć traktory i nie wszędzie można posłużyć się maszynami. W tych trudnych dniach żniwnych wszystko, co przyspiesza pracę okazało się przydatne, każda para rąk potrzebna. I najbardziej cieszę ludzką solidarność, śpieszenie sobie z wzajemną pomocą, zrozumienie tego, że to, co robię dla innych, robię też dla siebie.

Akcja żniwna zainteresowała się Biuro Polityczne KC PZPR i Prezydium Rządu, oceniając jej przebieg na wspólnym posiedzeniu. Biuro Polityczne KC PZPR i Prezydium Rządu wyraziły uznanie rolnikom za ich ofiarną pracę i zaapelowały o szybkie i sprawne wykonanie podorywek i siewu poplonów.

M. R.

W 30 ROCZNICĘ

BITWA POD STUDZIANKAMI

W ubiegłą niedzielę w Studziankach Pancernych, w małej miejscowości nad Wisłą, u północnego skraju Puszczy Kozienickiej, gdzie przed 30 laty żołnierze I Brygady Pancernej im. Bohaterów Westerplatte, pod dowództwem gen. Jana Mierzyca stoczyli zwycięską bitwę z wojskami hitlerowskimi, odbyła się wielka manifestacja ludności Ziemi Kieleckiej. Uroczystość uświetniła swym przybyciem liczna grupa byłych żołnierzy walczących na tym odcinku frontu, w tym także przedstawiciele Armii Czerwonej.

Zacęcie boje trwały tu osiem dni, od 9 do 16 sierpnia 1944 roku. Hitlerowcy rzucili do boju swe najbardziej doborowe oddziały, którymi dysponowali — 19 dywizję pancerną, 45 dywizję grenadierów oraz świeżo przerzuconą z Włoch i wycofaną spod Warszawy — dywizję pancerną „Hermann Goering”,

chcąc za wszelką cenę odciąć od Wisły, a następnie zlikwidować uchwyciony przyczółek w recko-magnuszewski. W tym celu na 6-kilometrowym odcinku przełamania zgromadzili około 30 tys. żołnierzy, ponad 300 czołgów i dział pancernych, 600 luf dział i moździerzy, przydzielając im do bezpośredniego wsparcia samoloty z 6 Floty Powietrznej. Nasyconie sił i środków było ogromne.

Wydzielona z I Armii Wojska Polskiego I Brygada Pancernej, walcząca w składzie wojsk gen. Czujkowskiego zaangażowana była w najbardziej niebezpiecznym miejscu walki — we wsi Studzianki. Walka była niezwykle ciężka i zażarta. Tylko jednego na przykład dnia (10 sierpnia) polscy czołgiści wraz z radziecką piechotą odparli 10 ciężkich ataków wojsk hitlerowskich. Zmienne były też koleje poszczególnych bitew. Sześć razy zgłiszczą tego

co kiedyś stanowiło wieś, przechodzili z rąk do rąk, by wreszcie po siódmym i ostatnim szturmie, wieczorem 16 sierpnia zlikwidować ostatecznie odcinek już zgrupowania przeciwnika. Przyczółek został utrzymany.

Brygada straciła około stu żołnierzy, prawie dwustu zostało rannych, zniszczonych było również 18 czołgów T-34.

Polscy czołgiści natomiast zniszczyli: 6 „Tygrysów”, „Panterę”, 16 czołgów T-V, i T-III, 13 „Ferdynandów” i 3 artysturmy — razem 40 czołgów i dział pancernych, czyli dwukrotnie więcej. W przeliczeniu na tony, bilans wygląda jeszcze bardziej korzystnie — tracąc 540 ton, zniszczyliśmy 1763 tony, czyli przeszło trzy razy więcej.

Ale przecież nie o samo zniszczenie siły wroga chodziło. Studzianki były pierwszą pol-

ską wioską wyzwoloną przez Ludowe Wojsko Polskie po jego powrocie do ojczyzny. W istocie była to bitwa o Warszawę. Stąd właśnie, z tego ocalałego przyczółka, w styczniu 1945 roku ruszyło do natarcia pięć armii ogólnowojskowych i dwie armie pancerne. W trzecim dniu wyzwoliły Warszawę, w piątym — Łódź, w jedenastym — Bydgoszcz, a po siedmiu dniach uchwyciły za Odrą podberliński przyczółki.

Przypominając w 30-rocznicę dzieje tamtych bitew, szarż naszych czołgistów, którzy wspólnie z żołnierzami Armii Czerwonej przełamali krew i złożyli ofiarę życia, gen. bryg. Tadeusz Belczewski, szef sztabu Okręgu Warszawskiego podkreślił, że tu rozpoczął się pełen chwali szlak bojowy I Armii WP na ziemi ojczystej.

W mauzoleum poległych żołnierzy zapłonął znicz. U stóp cokołu pomnika, na którym stoi czołg T-34 oznaczony numerem 217, zacięgnięli wartę żołnierze najstarszej jednostki WP — 1 Praskiego Pułku Zmechanizowanego, a licznie przybyła ludność złożyła narecza kwiatów, wianki i wieńce. Odbył się uroczysty apel poległych. Salutem 30 salw artyleryjskich oddano cześć bohaterom.

J. J.

Δ **TEATR „PROBLEMY”** — amatorzy zespołu, który działa już 13 lat przy Międzyzakładowym Domu Kultury „Energetyk”, a który odnosił wiele sukcesów w kraju, NRD i ZSRR, przygotował obecnie sztukę **Wiesława Szczęśkowskiego „Słowo o Manifestacji”**. Sztukę tę „PROBLEMY” pokazywały na Złocie Młodości Polskiej w Warszawie, a także zaprezentowały ją w Warszawie w ramach „Panoramy Trzydziestolecia” w październiku bieżącego roku.

Δ **WŁADYSŁAW HAŃCZA** obchodzi 45-lecie swojej pracy aktorskiej. Zaczął jako student Wydziału Filozoficznego w Poznaniu, kiedy to trafił do studia teatralnego prowadzonego również w Poznaniu przez Emila Zegadłowicza i Stanisława Wysocką. Jest to jednocześnie 35-lecie pracy Władysława Hańczy w Warszawie, gdzie przed wojną zaczął w Teatrze Narodowym, a po wojnie — w Teatrze Polskim. I przez cały czas pozostał wierny temu teatrowi. Przez 25 lat. A więc jest niejako trzeci jubileusz tego popularnego i lubianego aktora.

Δ **FRANK SINATRA** narażił się australijskim dziennikarzom. Przybywszy na tournée do Australii amerykański aktor i piosenkarz brzydko wyraził się o australijskich dziennikarzach. Stało się to na konfe-

rencji prasowej. Dziennikarki nazwał Frank Sinatra „prosty-tutkami”, a dziennikarzy — „paszycami”. Związek Dziennikarzy Australijskich zażądał od aktora publicznego przeproszenia. Sinatra odmówił. Wówczas dziennikarze rozpoczęli bojkot jego koncertów. Przysłali się do nich pracownicy techniczni teatru i estrady, odmawiając dalszej pracy przy

wili rozpocząć pertraktacje z czołowymi przedstawicielami australijskich związków zawodowych.

Δ **PIOSENKA O ŁODZI** stała się szlagierem w RFN. Spiewa ją Vicky Leandros, piosenkarka pochodzenia greckiego, mieszkająca obecnie w RFN. Piosenka nosi tytuł: „Theo, jedziemy do Łodzi” — Theo, wir fahren nach Lodz. Bardzo czę-

sto kompozytorskiej spółce Werau — Loehner. I tak narodził się najpopularniejszy w RFN szlagier: „Theo, jedziemy do Łodzi”.

Δ **WCZASY NA MORZU**, ale nie w kabinach luksusowego liniowca ani też nie w kabinie statku wycieczkowego. Do takiego zdania doszli projektanci z Instytutu Morskiego. W czynię społecznym, dla uczczenia 30-lecia PRL, przygotowali oni założenia, a stocznia im. Adolfa Warskiego w Szczecinie wykonała szkic takiego statku, który — zdaniem projektantów z Instytutu Morskiego — powinna też wybudować. Stocznia ta budowała już statki szkolno-towarowe i naukowo-badawcze, a także będzie budowała promy z kabinami na 500 miejsc i pomieszczeniami rekreacyjnymi. Ma więc doświadczenie i może zbudować też statek wczasowy, który dysponowałby odpowiednimi pomieszczeniami rekreacyjnymi a także leżakami.

Δ **MUZEUM TECHNIKI** — istniejące w Pałacu Kultury i Nauki w Warszawie — wzbożyciło się w ubiegłym roku o 250 nowych eksponatów. Są wśród nich: pierwsza polska maszyna do pisania „Ideal”, konstrukcji Wacława Paciorekiewicza z 1923 roku, popularny przed wojną rower polskiej konstrukcji „Michał Kamiński” oraz oryginalna... maszyna do temperowania ołówków.

NOTY I OPINIE

przygotowywaniu koncertów, na które wyprzedano już wszystkie bilety.

Frank Sinatra nadal odmawiał przeproszenia dziennikarzy. Koncerty odwoływano. Skandal robił się coraz większy. Wtedy Frank Sinatra postanowił odlecieć do USA własnym samolotem, ale tu czekała go kolejna niespodzianka. Obsługa lotniska, solidaryzując się z dziennikarzami, odmówiła przygotowania do lotu samolotu Sinatry. Wtedy adwokat Sinatry oraz menager jego australijskiego tournée postano-

to nadaje ją radio, a płyta nagrana przez Vicky Leandros rozeszła się w ciągu trzech miesięcy w ilości 350 tysięcy.

Skąd wzięła się Łódź w tej piosence? Z przypadku, jak to najczęściej w życiu bywa. Piosenkę wymyślił ojciec Vicky — papa Leandros. Przesłuchiwał on stary, archiwalny film o losach dzielnego wojaka Szwajka. Wpadła mu w ucho śpiewana tam piosenka: „Roze, wir fahren nach Lodz”. Był to marsz. Zmienił więc papa Leandros Różę na Thea, Łódź zostawił, bo było mu wszystko jedno, u-nowocześnił słowa i przekazał

SZANSA POWROTU

Amnestia, uchwalona 18 lipca 1974 r., jest siódmą w historii Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej. Była oczekiwana i spodziewana, jako akt upamiętniający wielką rocznicę ludowego państwa. Tysiące ludzi wiązało z nią nadzieje na darowanie im kar, które w wyniku popełnionych przestępstw orzekły wobec nich sądy. Liczono także na darowanie win.

Ostatnia amnestia jest istotnie aktem humanitaryzmu, aktem powszechnej łaski wobec ludzi, którzy weszli w kolizję z prawem, ale różni się zasadniczo od poprzednich. Pierwsze — w latach 1945 i 1947 dotyczyły przede wszystkim przestępstw politycznych i otwierały powrót do normalnego życia, do władzy, nie w nurt socjalistycznego budownictwa tym wszystkim, którzy błądzili przeciwstawiając się czynnie nowej władzy.

Następna amnestia z roku 1952 miała uzasadnienie w uchwaleniu najdonioślejszego aktu państwowego — Konstytucji PRL. Była ona już wyrazem siły nowego państwa ludowego i jego wspaniałomyślności. Te same cechy można odnieść do następnych amnestii — z 1964 i 1969 r. Okazjami do wydania tych aktów były następnie rocznice: dwudziestolecie i dwudziestolecie Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej. Warunki społeczno-polityczne uzasadniały wydanie aktu darowania i zapomnienia win i kar.

Podstawą dla ustawy amnestycznej z 1974 roku są: pomyślnie wykonywanie programu rozwoju społeczno-gospodarczego, wzrost dyscypliny społecznej, lepszy stan bezpieczeństwa i porządku publicznego, spadek zagrożenia przestępczością. Na przykład: gdy w roku 1968 skazano wyrokami prawomocnymi za przestępstwa około 232.500 osób, to w roku 1973 — niewiele ponad 156 tys. osób.

Dlatego wobec tego amnestia nie obejmuje wszystkich winnych kolizji z prawem, dlatego nie przekreśla win w całości, dlatego jej humanitaryzm jest wyważony i zróżnicowany?

Ustawa amnestyczna z 1974 roku nie zawiera — w przeciwieństwie do poprzednich — zasady abolicji. Abolicja polega na puszczeniu w niepamięć i na przebaczeniu przestępstw. Skutek jest taki, że nie wszczęta się postępowania o przestępstwa podlegające abolicji, wszczęte zaś umarzają się, a kary się darują, natomiast

karty karne usuwa się z rejestru skazanych. Taka była tradycja w naszych amnestiach i z tą tradycją nagłe zerwano. Nie też poza tradycją nie przemawia za wprowadzeniem abolicji, wiele zaś przemawia przeciwko niej: abolicja nie pozwala na stosowanie środków karnych o znaczeniu zapobiegawczym i wychowawczym, co pozostawiało by w sprzeczności z podstawowymi założeniami obecnej ustawy. Abolicja wyklucza też zorientowanie się w rzeczywistym stanie przestępczości, co koliduje z założeniami polityki karną i wymierzania sprawiedliwości.

Nie wszyscy zasługują na dobrodziejstwo amnestii i chociaż jest ona wyrazem siły i wspaniałomyślności naszego państwa — to właśnie interes państwa i społeczeństwa wymaga by nie świadczyć dobrodziejstw ludziom, którzy dokonali przestępstw szczególnie groźnych dla publicznego porządku. Nie korzystają więc z amnestii sprawcy przestępstw groźnych w życiu i zdrowie obywateli (napady rabunkowe, gwałty) i przestępstw przeciwko interesom państwa (afery gospodarcze, fałszerstwa). Nie skorzystają z niej sprawcy przestępstw o charakterze chuligańskim i ci, którzy popełnili kargodolne czyny w stanie nietrzeźwym. Jest w tym konsekwencja w realizowaniu programu umiędzynarodowienia porządku i bezpieczeństwa, którego założeniem jest ogólne dobro społeczne.

Z tych względów wykonywane będą prawomocne wyroki o zakazach zajmowania określonych stanowisk, wykonywania zawodu, prowadzenia pojazdów mechanicznych, konfiskacie mienia, nadzorze ochronnym, podleganiu pracy zarobkowej. Te wszystkie i jeszcze inne orzeczenia mają charakter wychowawczy, jeżeli chodzi o samego sprawcę oraz zapobiegający powtórzeniu podobnego czynu przestępczego. Orzeczenia te mają charakter ochronny, wzmacniający ogólne bezpieczeństwo.

Obecna amnestia przedstawia się przede wszystkim przywilejem dla osób starszych, sprawujących opiekę nad dziećmi w wieku do 16 lat, młodocianych, którzy w chwili popełnienia przestępstwa nie ukończyli 18 lat. Stwarza ona szansę powrotu do społeczeństwa i normalnego trybu życia tysiącom ludzi, którzy zostali skazani na karę pozbawienia wolności lub przebywali w aresztach śledczych. Szansa ponownej adaptacji zasadza się na obowiązkach podjęcia pracy. Uruchomiono olbrzymi mechanizm, który ma zapewnić miejsca pracy w całym kraju, zgodnie z kwalifikacjami. Prowadzi się szkolenie dla tych, którzy nie mają zawodu lub utracili prawo jego wykonywania. Pozostawiono wybór miejsca pracy, przygotowano zakwaterowanie, uproszczono formalności, zapewniono wypłaty zaliczek, zarobków, rent, emerytur, przydzielono instytucje wypłacające zapomogi. Ludzie starsi, samotni, ze złym stanem zdrowia skorzystają z opieki Polskiego Komitetu Pomocy Społecznej.

Ustawa zawiera cały system zabezpieczeń. Pierwszym z nich jest właśnie obowiązek podjęcia pracy w terminie nie przekra-

czającym trzech miesięcy. Zlekceważenie tego obowiązku wywołuje automatycznie uchylenie amnestii. Nie można będzie przyjąć pracy dla pozoru. Kontrolowany będzie proces adaptacji zatrudnionego, któremu — w każdym wypadku stwarza się takie same warunki, jakie — zgodnie z obowiązującymi ukladami — przysługują pracownikom zakładów, przedsiębiorstw i instytucji.

Inną formą kontroli procesu adaptacji jest zasada, że jeżeli korzystający z amnestii popełni w ciągu dwóch lat nowe przestępstwo — anuluje się stosowanie amnestii. Jeżeli postępowanie zostało umorzone — w takim wypadku zostanie wszczęte na nowo.

Znane są już — niestety — przypadki naruszania ustawy o amnestii. W Łodzi na przykład został zwołany z zakładu karnego mężczyzna skazany za znęcanie się nad żoną. Nim wrócił do domu upił się i w takim stanie powiódł rodzinę rekonesansami. Został aresztowany. Przekreślił od razu dobrodziejstwo amnestii. Podobne fakty zanotowano w innych rejonach kraju. Doszło już do popełnienia zbrodni, zgwałcenia i usiłowania dokonania gwałtu przez osobników zwolnionych z zakładów karnych. Wróć! Iam znów.

Od amnestii wyłączone są więc osoby, które są winne przestępstwom im wspaniałomyślności kary. Społeczeństwo i państwo poprzez swoje organizacje i instytucje dają im ogromną szansę włączenia w wytyczoną pracę, w budowę „drugiej Polski”, ale społeczeństwo i państwo świadome jest swojej siły i jeżeli ktośkolwiek szansę zaprzęca — użyje tej siły przeciwko niemu.

Stworzono też możliwość uniknięcia kary bądź też znacznego złagodzenia wobec sprawców przestępstw, którzy nie są jeszcze znani organom ścigania. Pozostawiono aż rok czasu na ujawnienie się i złożenie odpowiedniego oświadczenia. Wiele osób żyje z ciężarem winy z obawą przed wykreśleniem ich, przed karą w wysokim wymiarze. Jeżeli złośliwa się do 15 czerwca 1975 r. do organów ścigania (prokuratura, milicja, także PIH, NIK, IKR, WOP oraz polskie ołcówki za granicą) i uławnia istotne okoliczności czynu oraz ewentualnych współsprawców — korzystają z szeregu dobrodziejstw wymienionych w orzeczeniach ustawy. Doświadczenia z poprzednich amnestii zadecydowały o pozostawieniu aż rocznego czasu do namysłu. Wiele osób podjęło już decyzję. Wiele zasięga informacji w prokuraturach chcąc potwierdzenia gwarancji zawartych w orzeczeniach. Potwierdzenia są przekonywujące, wyłączenia ułatwiają podjęcie ważnych, życiowych decyzji. Im szybciej jednak złośliwa się tym lepiej, bo przecież organa ścigania nie zaprzęcały swojej pracy.

ZOFIA TARNOWSKA

ODGŁOSY

Redaguje zespół: JERZY WAWRZAK (redaktor naczelny), RYSZARD BINKOWSKI, KONRAD FREJDLICH, ANDRZEJ GRUN (redaktor graficzny), JAN JANICKI (redaktor techniczny), BOGDA MADEJ, ANDRZEJ MAKOWIECKI, WŁODZIMIERZ PARYS (fotoreporter), JERZY RZYMOWSKI WŁODZIMIERZ STOKOWSKI (zastępca redaktora naczelnego), LUCJUSZ WŁODKOWSKI (sekretarz redakcji), JERZY WILMAŃSKI (drugi sekretarz).
Stale współpracują: ANDRZEJ F. GRABSKI, EWA NURCZYŃSKA, WITOLD SŁAWSKI, TADEUSZ SZCZEPAŃSKI, MAREK WAWRZKIEWICZ.

We wspomnieniach z „lat zie'onych”. Julii Millerowej — siostry przyrodniej prof. Jana Dembowskiego — utrwalił się wizerunek późniejszego wiceprzewodniczącego Rady Państwa i marszałka Sejmu (1952–1956), jako chłopca nieśmiałego i zrównoważonego, raczej samotnika, odznaczającego się wszechstronnym bogactwem zainteresowań. Szczególnie lubił matematykę i nauki przyrodnicze, ale z łatwością też opanowywał arkana języków obcych i potrafił nadawać swoim wypowiedziom, zarówno w przekazach ustnych jak pisemnych, kształt piękny i niebanalny.



Fot. Archiwum

Natura obdarzyła go, głównie wybitnym talentem muzycznym, toteż ta sfera kultury, zdradzona na rzecz biologii, była mu jednak najbliższa, gdyż w niej odnajdywał zawsze źródło głębokich przeżyć, dominujące nad innymi zainteresowaniami pozanaukowymi.

Prof. Jan Dembowski był wysokiego wzrostu o szczupłej, chociaż lekko przysgarbionej sylwetce. Włosy miał kruczoczarne, do końca pozbawione siwizny, oczy ciemne a nos wydłużony. Z postawy i spokojnego głosu była dostojność i powaga a na-

wet pewna surowość, spętowana niemal całkowitym brakiem mimiki. Specyficzna maskowatość jego twarzy nie była przejawem rozyńskiej postawy, ale rezultatem choroby Parkinsona, rozwijającej się zwłaszcza w wieku późniejszym. Mimo iż wydawał się mało mówny i powściągliwy, potrafił w szerszym gronie czarować dowcipem i elokwencją.

Wykłady profesora porwały słuchaczy różnorodnością treści i głębokim ujęciem tematu. A przy tym nie zawężyła się tylko do zbiorowiska faktów i dogmatów naukowych, ale

każde zagadnienie otrzymywało oświetlenie historyczne a wszelkie trudności i wątpliwości bynajmniej nie ukrywały się w cieniu interpretacyjnym. Do każdego wykładu przygotowywał małe kartki wielkości jednej czwartej arkusza, aby zanotować w punktach poszczególne kwestie. Mówił płynnie, chociaż nie różnicował natężenia dźwięcznego głosu, co mogło wywoływać wrażenie pewnej monotonii. Zawsze dbał o kulturę słowa i logiczność myśli.

Jan Dembowski zainicjował działalność naukową w roku 1912 jako asystent Zakładu Zoologii Uniwersytetu Petersburskiego. Początkowo spe-

nym a więc stała troska o to, aby odkrycia naukowe orientowały się na zaspokojenie konkretnych potrzeb duchowych i materialnych narodu, stawały się jednocześnie najsukcesywniejszym antidotum przeciwko rutynie i skostnieniu w pracy intelektualnej.

W bogatym dorobku profesora zasługują na dużą uwagę także jego książki popularyzujące kulturę przyrodniczą wśród szerszego kręgu czytelników. Fascynują niezmiennie wysokimi walorami poznawczymi, przekazywanymi w komunikatywnej formie, korespondującej z ciekawą postacią narracji.

kresu działalności zwoływał po godzinie szesnastej na dziedziniec instytutowy przy ulicy Południowej 66 wszystkich chętnych do gry w szachy.

Znany był z unikania sztampowości nawet w oficjalnych przemówieniach. Tego typu wystąpienia potrafił zaaranżować na poczekaniu. I tak w roku 1954 przybyła do jego gabinetu prezesa Polskiej Akademii Nauk w Pałacu Staszica delegacja speszonych kolegów, ponieważ w ostatniej chwili skonstatowali brak referatu okolicznościowego na akademii z okazji ważnej rocznicy. Za chwilę mieli zjawić się dostojnicy, których obecność świadczyła o randze uroczystości. Dembowski zgodził się bez wahania podjąć zaproponowaną rolę i faktycznie zaprezentował referat całkiem nietuzinkowy. Jednakże nie zrezygnował z małego akcentu humorystycznego, wobec tego pierwsze słowa mowy omal nie przysparzyły niefortunnym organizatorom imprezy o poważny atak serca.

„Obywatelo — zaczął — dzisiaj uroczystość obchodzimy po raz ostatni...” — a po bardzo długiej chwili, pogłębiającej osłupienie zebranych, kontynuował — „...w tym gmachu”.

Zart miał swoje pokrycie w „planach przeniesienia centralnych instytucji Polskiej Akademii Nauk do Pałacu Kultury i Nauki w roku następnym”.

U podłoża jego postawy jako badacza spoczywała myśl, że praca społeczna stanowi moralny obowiązek każdego pracownika nauki. Osobiście był najlepszym realizatorem tej tezy, ponieważ włączył się jak najaktywniej w żywy nurt działalności politycznej na rzecz zachowania pokoju, bezpośrednio po swoim powrocie do kraju w listopadzie 1947 roku. Objął wówczas prezesurę Polskiego Komitetu Obronców Pokoju i należał do głównych organizatorów Kongresu Intelktualistów we Wrocławiu, poświęconego głównie tej sprawie. Równocześnie nie ustawał w trudach tworzenia nowych kształtów instytucjonalizacyjnych nauki polskiej, skryształizowanych podczas obrad I Kongresu Nauki Polskiej w kształcie Polskiej Akademii Nauk, której przewodził od pierwszych dni tej placówki aż do roku 1957. W tych samych latach dzielił łaskę marszałkowską w Sejmie a także urząd wiceprzewodniczącego Rady Państwa.

Pracowite życie profesora Jana Dembowskiego dobiegło kresu w Warszawie 22 września 1963 roku. Pozostawił ślad nie tylko w postaci 9 książek i ponad 120 artykułów, ale nie mniej jasny i wyraźny blask na horyzoncie politycznym pierwszego dwunastolecia Polski Ludowej.

ZIEMOWIT MIEDZIŃSKI

oko na gospodarkę

Ani się obejrzelismy, a mamy już za sobą półmetek. Idziemy jak się to mówi — „z górki” realizując bieżący plan pięcioletni. Najwyższy czas więc pomyśleć o tym co będzie, jak ustawić i określić proporcje, kierunki rozwoju społeczno-gospodarczego kraju już poza granicą 1976 roku, bo — wypada i trzeba sięgnąć wyobraźnią ekonomiczną po rok 1990, a może nawet poza trudną jeszcze mimo wszystko wyobraźną graniczną barierę roku 2000.

Bardzo wiele na ten temat mówiło się na minionej I Krajowej Konferencji PZPR bilansując nie tylko dotychczasowy dorobek, ale właśnie przede wszystkim określając możliwości, nie wykorzystane jeszcze rezerwy dla dalszego rozwoju. Jest to sprawa o kapitalnym znaczeniu jako że społeczeństwo wyraźnie odczuwa związki zachodzące między tym co robimy a tym jak żyjemy. Truizmem jest równocześnie, że chcemy żyć dostatniej.

I pod tym kątem trzeba popatrzeć na zamierzenia i prognozy.

Planiści nie powiedzieli jeszcze ostatniego słowa, przyspieszają się ciagle do owych nowych struktur i kierunków rozwoju, które mają jeszcze bardziej zdynamizować naszą gospodarkę, zapewnić jej utrzymanie dotychczas bardzo wysokiego tempa, tempa nieczęsto spotykanego, gdy się popatrzy na ekonomiki nawet najbardziej rozwiniętych gospodarek krajów. Wytyczając nowe kierunki planiści nie mogą także pominąć odczuwanych jeszcze dziś napięć, czy też niedostatków, jakie zarówno tkwią w technice, jak i w

metodach pracy człowieka, w jego mentalności, w sposobach społecznego gospodarowania wspólną własnością.

Niewątpliwie jednym z najważniejszych problemów będzie określenie modelu konsumpcji, modelu jaki dziś w oparciu o już uzyskane rezultaty możemy sobie wyobrazić i zaplanować. Dla przypomnienia

wypada tutaj podać kilka choćby faktów, które przybliżą ów „model”. Tak więc ostatnie lata, dokładnie 1970–1973 charakteryzują się niezwykle dynamicznym wzrostem funduszu nabywczego ludności, szczególnie w jego części przeznaczony na zakup towarów. Jak obliczono, w roku 1970 fundusz ten w skali całego kraju kształtował się na poziomie około 465 mld zł, a w roku 1972 osiągnął 562 mld zł. Można się spodziewać po polityce partii i rządu w dziedzinie kształtowania płac, iż fundusz ten w roku 1975, a więc w ostatnim roku bieżącego pięcioletnia przekroczy kwotę 750 mld zł, czyli że będzie o 160 proc. większy w stosunku do tej samej „pozycji” z jakiej startowaliśmy w roku 1970.

Alte mówimy tu ciągle o końcówce

bieżącego planu pięcioletniego, a przecież mieliśmy się „zabawić” w futurologów i spróbować razem określić stan rzeczy w tej dziedzinie w latach, które będą stanowiły dalszy etap rozwoju ekonomiki naszego kraju, etap osiągnięcia nowych celów społecznych. I znowu odwołamy się tutaj do opinii planistów: według ich rozeznania, przy założeniu stałego wzrostu płac, a więc tym samym siły nabywczej ludności ta właśnie „pozycja” w stosunku do roku 1975 wzrośnie o 150 proc.

Nie chodzi tutaj oczywiście o wskaźniki i liczby, gdyż w ślad za strumieniem złotych, które w efek-

cie pracy i działalności wytworzył społeczeństwo pomnożą jego zasobność.

Chodzi przecież o to, by konkretną odpowiedź na strumień złotych był odpowiedni ilościowo i asortymentowo także sam strumień towarów, przy czym muszą one odpowiadać konkretnemu zapotrzebowaniu społeczeństwa. Ten ważki pytnik starają się już rozszyfrować futurologi i planiści, przy czym za podstawę swoich rozważań biorą zjawiska, jakie miały miejsce szczególnie w trzech ostatnich latach właśnie w dziedzinie zmiany profilu konsumpcji. Na tej podstawie można już dzisiaj powiedzieć, że w naszym kraju zarysowuje się wprawdzie powolny, ale systematyczny proces przemian w profilu

zakupów ludności, a mianowicie maleje wskaźnik wydatków na artykuły żywnościowe, natomiast wzrastają wydatki na zakup artykułów przemysłowych oraz usług. Jest to ogólna prawidłowość wszystkich wysoko rozwiniętych gospodarek społecznych, a w przypadku Polski wyglądała ona następująco: w latach 1970–1971 wydatki na żywność spadły z 47,8 proc. do 46,2 proc., natomiast udział artykułów przemysłowych w zakupach czynionych przez społeczeństwo wzrósł z 41,8 proc. do 43,3 proc.

Już tylko te liczby upoważniają nas do wyrażenia przekonania, że ten proces będzie się w naszym kraju umacniał i pogłębiał, że rola artykułów przemysłowych odpowiedniej jakości i we właściwym asortymencie odpowiadającym zapotrzebowaniu społecznemu będzie miała pierwszorzędą wagę dla zapewnienia z jednej strony równowagi na rynku, a z drugiej zaspokojenia potrzeb społeczeństwa na towary bardziej różnorodne i cenniejsze — o czym też mówią prognozy planistów — o wyższym znaczenie standardzie.

Nie chodzi zresztą tylko o kwotę około 700 mld zł, które w myśl prognoz społeczeństwo nasze będzie wydawało po roku 1975 na artykuły przemysłowe. Chodzi przede wszystkim o znalezienie odpowiedzi, jakie wyroby będą szczególnie preferowane przez społeczeństwo wychodzące na rynek z określoną kwotą złotych.

Wydaje się, że można już na ten temat powiedzieć bardzo dużo, przy czym należy tutaj uwzględnić ogólną tendencję rozwoju kraju, naszą politykę społeczną, wytyczoną m. in. podczas I Krajowej Konferencji PZPR. Można więc na pewno stwierdzić, iż w ślad za rozwojem budownictwa mieszkaniowego, rynek będzie oczekiwał większej ilości

rozmaitych urządzeń, niezbędnych do wyposażenia mieszkań, a więc mebli, artykułów radiotechnicznych, sprzętu zmechanizowanego oraz artykułów gospodarstwa domowego. Wydaje się także, iż to ogólne stwierdzenie należy uzupełnić o jeszcze dodatkowe prognozy, gdyż pod tym względem „rynek” lat osiemdziesiątych będzie prawdopodobnie wymagał zupełnie czegoś innego aniżeli teraz. Choćby meble. Wydaje się, że powoli mija era jednostkowego uzupełniania wyposażenia naszych mieszkań, a nabywca decydując się na taką „domową inwestycję” stara się wyposażyć swoje nowe mieszkanie w sposób kompleksowy, poszukuje całych zestawów mebli i to daleko odbiegających swoją jakością od tego co jeszcze dziś oferuje nasz przemysł.

To samo da się powiedzieć chyba o innych rodzajach wyrobów przemysłowych, które będą ważyły na strukturze wydatków naszego społeczeństwa po roku 1975. Ciągłe niezaspokojone jeszcze zapotrzebowanie na różnego rodzaju automatyczne kuchnie gazowe i elektryczne, odpowiednie lodówki czy zautomatyzowane pralki będą chyba wyznacznikami stanu zaopatrzenia rynku, jak i odczuć społecznych co do efektywności działania przemysłu.

Oczywiście są to prognozy, ale można z całą pewnością powiedzieć, że nie są to tylko wizje... wyszane z palca, ale kolejne przybliżenie programów działania, które założyliśmy sobie już w bieżącym pięcioletcu. Prawdopodobnie trzeba je będzie modyfikować i zmieniać. Chodzi jednak o ogólną tendencję, na którą przemysł musi odpowiedzieć właściwą ofertą, a sfera handlu właściwym i umiejętnym dotarciem do potencjalnego nabywcy tych wszystkich produktów.

KRZYSZTOF POGORZELEC

NIE Z PALCA WYSSANE

— Obchodzę małą uroczystość — oznajmił Silvers. — Pan jest także przony.

— Dziękuję — odpowiedziałem bez zachwytu. — Niestety muszę odmówić. Nie mam smokingu.

— Nie trzeba. To jest takie letnie party. Każdy może przyjść, jak chce. Nie widziałem wyjścia.

— Dobrze — powiedziałem. — Czy nie zechciałby pan przysporzyć ze sobą Mrs. Whympers?

— Czy pan ją zaprosił?

— Jeszcze nie. Ale przecież ona jest pańska znajoma.

Spojrzałem na szczwanego lisa.

— Nie sądzę, żeby tak od razu dała się przyprowadzić. Poza tym jej znajomość z panem jest przecież o wiele dłuższa, jak to pan sam mówi.

— No cóż, tak tylko pomyślałem. Przyjdą bardzo ciekawi ludzie.

Mogłem sobie wyobrazić tych ciekawych ludzi. Psychika tej części ludzkości, która utrzymuje się z handlu, jest niezłożona. Interesującym człowiekiem jest ten, kto pozwala zarobić pieniądze, pozostali dzielą się na ludzi sympatycznych i obojętnych. Człowiek, który przeżył się do straty pieniędzy, jest oczywiście swintuchem. Silvers, jest fanatycznym zwolennikiem takiego podziału, a nawet poszedł jeszcze dalej.

Rockefellerowie, Fordowie, Mellonowie, o których Silvers tak wiele mi opowiadał, że powinienem sądzić, iż są to jego najlepsi przyjaciele, a wobec tego powinni byli przyjść, nie zjawili się. Byli natomiast inni milionierzy — prawdopodobnie nawet ci z pierwszej generacji, nie na drugiej, a tym bardziej z trzeciej. Głośni, serdeczni, zafascynowani atmosferą wielkiej pewności siebie — jeśli chodzi o zarabianie pieniędzy — i lekkiej niepewności w zakresie znawstwa obrazów, które zakupili.

Wszyscy czuli się kolekcjonerami, nie ludźmi, którzy po prostu nabyli kilka obrazów, by zawiesić je w swoich mieszkaniach. Był to sprytny chwyt Silvers: czyniąc ich kolekcjonerami, chodziło mu o to, żeby przy sposobności jakiegoś muzeum wypożyczył jeden z ich obrazów na wystawę, który w związku z tym zostanie wciągnięty do katalogu z adnotacją: „Ze zbiorów Mr. i Mrs. X”, co pozwoli mu osiągnąć

dalszy tak upragniony stopień w drabinie towarzyskiej.

Nagle po przeciwnej stronie zobaczyłem Mrs. Whympers. Skinięła ręką, bym się zbliżył.

— Co pan tu robi między tymi rekinami? — zapytała. — I dla nich mnie pan tu zaprosił? Okropni ludzie! Może chodzący stad? — Dokąd?

— Dokądkolwiek. Do „Morocco”. Albo do mnie do domu.

ERICH MARIA REMARQUE

CIEienie W RAJU

(FRAGMENTY)

— Chętnie — odrzekłem. — Ale ja nie mogę stąd odejść. Jestem tu po niekąd na służbie.

— Poniękad? A ja? Czy nie poczuwa się pan do obowiązku wobec mnie? Powinien pan mnie stąd wyprowadzić. Wszak to pan pozwolił mi tu zaprosić.

Jej dowodzenie nie było bez racji.

— Czy pani nie jest Rosjanką? — spytałem.

— Nie, Dlaczego?

— Często spotykałem u Rosjanek tę wspólną logikę, błędne założenie i błędą konkluzję, tworzące jeden niezbyt, słuszny argument. Bardzo uroczy, bardzo kobiecy i bardzo lirycki.

Rozśmiała się.

— Zna pan tak wiele Rosjanek?

— Kilka. Przeważnie przedstawicieli białej Rosji. Emigrantki. Stwierdziłem, że jeśli chodzi o ustawiczne, bezpodstawnie oskarżenie mężczyźni, są genialne. Mówią, że to podsyca miłość.

— Pan to wszystko wie! — rzekła Mrs. Whympers, darząc mnie długim powłóczystym spojrzeniem. — A więc, kiedy wychodzimy? Nie sprawia mi przyjemności słuchanie fałszywych kazań tego czerwonego kapturka.

— Jak to czerwonego kapturka?

— Wilka w owczej skórce.

— To nie jest bajka o czerwonym kapturku. Jest to cytat z biblii, Mrs. Whympers.

Dziękuję, profesorze, ale i tu, i tam chodzi o wilka. Czy nie robi się panu niedobrze, kiedy widzi pan te zgraje mniejszych i większych hien i wilków, myskujących wokół ze swymi Renoirami w pyskach.

— Ani drgnęła.

— ...Martina z powrotem.

Zastanawiałem się przez chwilę, czy nie powinienem odmówić. Potem wstałem.

— Proszę mnie dowiedzieć do najbliższej taksówki — poleciłem kierowcy.

Wóz ruszył.

— Proszę się zatrzymać — powiedziałem, o dwie ulice dalej. — Tu jest taksówka.

Kierowca odwrócił się.

— Dlaczego chce pan wysiąść? Mnie to nie przeszkadza, odwiezie pana z powrotem.

— Dobra. Dojechaliśmy.

Kierowca uśmiechnął się krzywo.

— Boże drogi, ale ma pan kłopot! Zatrzymał się. Dalem mu napiwek. Pokręcił głową, ale przyjął. (...)

Pojechałem windą do Nataszy. Odkąd tam zamieszkała w naszych stosunkach coś się zmieniło. Przedtem spotykaliśmy się od czasu do czasu, teraz byłem u niej co wieczór.

— Muszę się wykąpać — powiedziała.

— Uwielbiam cię, ale muszę wziąć kąpiel. Czuję się brudny.

— Świetnie! Nigdy nikogo nie wolno powstrzymywać od kąpiel! Chcesz może olejku? Goździki Mary Chess?

— Lepiej nie. — Pomyślałem o Jasperze i o tym, co mogłoby się zdarzyć, gdybyśmy go spotkali w windzie pachnącej goździkami.

— Jak to się stało, że tak wcześnie przyszedłeś?

— Odwiołem do domu Mrs. Whympers. Silvers ją zaprosił, nie mi o tym nie mówiąc.

— A ona — eć tak szybko puściła? Bravo!

Wyprostowałem się do połowy w gorącej wodzie.

— Nie chciała mnie puścić. Skąd wiesz, że to nie było takie proste? Rozśmiała się.

— To każdy wie.

Kierowca zatrzymał się i otworzył

drzwi. Mrs. Whympers wysiadła nie czekając na mnie. Ruszyła przodem do drzwi wejściowych. Rozdrażniony poszedłem w ślad za nią.

— Jest mi bardzo przykro, że muszę odjechać — rzekłem. — Pani wie dobrze, że nie może być inaczej.

— Ależ, jest inaczej — odparła. — Pan w dalszym ciągu nie rozumie.

Dobranoc, John, proszę odwieźć pana... no, jakże panu na imię?

Spojrzałem na nią zdumiony.

— Martin — odpowiedziałem bez zająknięcia.

— Ani drgnęła.

— ...Martina z powrotem.

Zastanawiałem się przez chwilę, czy nie powinienem odmówić. Potem wstałem.

— Proszę mnie dowiedzieć do najbliższej taksówki — poleciłem kierowcy.

Wóz ruszył.

— Proszę się zatrzymać — powiedziałem, o dwie ulice dalej. — Tu jest taksówka.

Kierowca odwrócił się.

— Dlaczego chce pan wysiąść? Mnie to nie przeszkadza, odwiezie pana z powrotem.

— Dobra. Dojechaliśmy.

Kierowca uśmiechnął się krzywo.

— Boże drogi, ale ma pan kłopot! Zatrzymał się. Dalem mu napiwek. Pokręcił głową, ale przyjął. (...)

Pojechałem windą do Nataszy. Odkąd tam zamieszkała w naszych stosunkach coś się zmieniło. Przedtem spotykaliśmy się od czasu do czasu, teraz byłem u niej co wieczór.

— Muszę się wykąpać — powiedziała.

— Uwielbiam cię, ale muszę wziąć kąpiel. Czuję się brudny.

— Świetnie! Nigdy nikogo nie wolno powstrzymywać od kąpiel! Chcesz może olejku? Goździki Mary Chess?

— Lepiej nie. — Pomyślałem o Jasperze i o tym, co mogłoby się zdarzyć, gdybyśmy go spotkali w windzie pachnącej goździkami.

— Jak to się stało, że tak wcześnie przyszedłeś?

— Odwiołem do domu Mrs. Whympers. Silvers ją zaprosił, nie mi o tym nie mówiąc.

— A ona — eć tak szybko puściła? Bravo!

Wyprostowałem się do połowy w gorącej wodzie.

— Nie chciała mnie puścić. Skąd wiesz, że to nie było takie proste? Rozśmiała się.

— To każdy wie.

Kierowca zatrzymał się i otworzył

LEKTURA NA WAKACJE

— Kto, każdy?

— Każdy, kto ją zna. Czuję się samotna, nie interesuje się mężczyznami w jej wieku, pije chętnie martini i jest bezpośrednia. Biedny Robert. Miał stracha?

Złapałem ją za białostawą psrta sukienkę i próbowałem wciągnąć do wanny. Krzyknęła.

— Puść mnie! To sukienka modelowa, nie jest moją własnością!

Puściłem.

— Co właściwie jest naszą własnością? Mieszkanie nie jest, sukienki nie, biżuteria nie...

— Czyż to nie cudowne? W ogóle żadnej odpowiedzialności! Czy to nie jest to, czego pragnęliśmy?

— Mam dziś zły dzień — powiedziała. — Mój litość.

Natasza wstała.

— I ty chcesz mi robić wyrzuty z powodu Elizy Whympers. Ty z twoim znakomitym paktem.

— Jakim znów paktem?

— Ze nie będziemy sobie sprawiali bólu. Ze jesteśmy razem po to, by wzajemnie sobie pomagać, żeby skończyć ze starymi historiami! Boże, jak ty to wszystko uzasadniłeś! Drząc niby owce po burzy, znaleźliśmy schronienie w powściągliwej miłości, żeby leczyć rany zadane nam przez innych!

Natasza łajacze przemierzała łazienkę. Przeglądałem się jej ze zdumieniem. Skąd u niej nagle te wszystkie na wpół zapomniane, idiotyczne rozmowy, które są zwykłym wstępem do spraw miłosnych? Byłem przekonany, że tak tego nie powiedziałem, nie mogłem być taki głupi! Raczę była to jej własna reakcja i prawdopodobnie motywy, dla którego wdała się ze mną. Zaczęła szybko myśleć: przynawiałem w duchu że cześciwo to się pokrywało; jeżeli nawet nie chciałem tego przynąć. Co mnie dziwiło, to tylko to, że tak dokładnie o tym wiedziała.

(c.d.n.)

Przełożył:

ALEKSANDER MATUSZYN

SYLWETKA ARCYSZPIEGA

Dalszy ciąg ze str. 1

okresu „zimnej wojny”. Wiedząc wszystko o wszystkich należał więc do najpotężniejszych ludzi w NRF. Dopiero w 1968 roku ta enigmatyczna i przerażająca osobistość została pozabawiona wszelkich odpowiedzialnych funkcji. Stało się to pod naciskiem Willy Brandta.

W ubiegłym roku w witrynie paryskiej firmy wydawniczej Fayard ukazała się książka pióra E. H. Cookridge'a: „Gehlen, l'espion du siècle” (Gehlen, szpieg stulecia), poświęcona sławnym i niesławnym „wycynom” byłego szefa zachodniemieckiego wywiadu.

Jak pisze jej autor:

„Przez dwadzieścia lat wystarczyło wymówić nazwisko Gehlena w obecności któregoś z członków aparatu rządowego w Bonn, by w rozmowie zapadło natychmiast lodowate milczenie”.

„Początkowo tłumaczono to faktem, iż Gehlen nie był funkcjonariuszem państwowym. Później, gdy został mianowany szefem federalnej służby wywiadowczej, wyjaśniano, iż biorąc pod uwagę charakter jego pracy nie życzy on sobie absolutnie żadnego rozgłosu; odmawia udzielania jakichkolwiek wywiadów. Zarówno on sam jak i jego najbliżsi współpracownicy byli praktycznie nieosiągalni. Również korespondencja z zewnątrz kierowana do niego pozostawała bez odpowiedzi. Miejsce zamieszkania Goehlena i jego rodziny było otoczone ścisłą tajemnicą.

On sam mieszkał na terenie siedziby BND w Pullach. Jego 3-pokojowe mieszkanie znajdowało się nad biurem, w którym pracował. Celowo nie wprowadził się do któregoś z willi w parku, które zajmowali niedługo Rudolf Hess, Martin Bormann czy feldmarszałek Kesselring, wychodząc z założenia, że osobna willa, nawet osłonięta wysokim murem, strzeżona przez liczne patrole i zamknięta na elektryczne zamki byłaby miejscem zbyt eksponowanym — jeśli nie dla oczu intruza (praktycznie nie wchodziło to w grę) — to dla własnego personelu. Zamieszkiwał więc sam wraz z trzema sekretarzami i ordynansem, rodzina zaś przebywała nadal w tym samym domu, w którym mieszkali w czasie wojny. Dopiero później porzucił ją się z nim.

Tryb życia, jaki prowadził ten mistrz szpiegostwa, był nadzwyczaj skromny. Nie palił, nie pił nigdy mocnego alkoholu (tylko przy wyjątkowych okazjach pozwalał sobie na pół kieliszka lekkiego wina). Będąc przez wiele lat wegetarianinem jadł tylko gotowane jarzyny (co zresztą nie uchroniło go później od dolegliwości wroby i żołądka). Przy tym wszystkim zachowywał doskonałą energię. Ten pustelnik tryb życia stawał się niekiedy przedmiotem

tem żartów, zwłaszcza ze strony Alena Dullesa, będącego typem „bon vivant”.

Współpraca między nimi układała się harmonijnie, gdyż Dulles wysoce cenil sobie doświadczenie Gehlena. Ten ostatni zwierzył się kiedyś szefowi CIA, iż nie ma dość pieniędzy, by nabyć niewielką posiadłość ziemską, leżącą blisko jego kwatery w Pullach i zarazem osłoniętą przed oczami ciekawskich, Dulles obiecał rozważyć to sprawę. Okazała nadarzyla się niebawem. Oto bowiem w 1955 roku CIA przekazała organizację Gehlena Republic Federalnej i na pożegnanie Dulles powiadomił szefa BND, iż otrzyma on „złoty uścisk dłoni”. Ten „złoty uścisk dłoni”, w formie bardzo wysokiej gratyfikacji za pracę dla CIA, oszacowano na ćwierć miliona marek. Był jednak warunek — sumę tę Gehlen ma przeznaczyć na zakup pięknej posiadłości w górach bawarskich. Gehlen potraktował to jako rozkaz i jego wybór padł na okolicę Bergru, małej spokojnej wioski nad brzegiem jeziora Starnberg, leżącej około 15 km drogi od Pullach. Zakupił tam dwupiętrowy dom wiejski wraz z otaczającymi go dwoma hektarami lasu.

Ulubionym sportem Gehlena była jazda konna. W czasach młodości był w niej mistrzem. Po zamieszkaniu w Bergru sądził, że po długim okresie przerwy, wywołanej wojną, będzie mógł znów poświęcać wolny czas pasji młodości. Doznał jednak zawodu, gdyż czuwający nad jego bezpieczeństwem generał Langkau zabronił mu tego. Istniało bowiem niebezpieczeństwo ukrycia się w zarostach leśnych ewentualnego zamachowca a osoba Gehlena była pod tym względem łakomym kąskiem dla wielu wywiadów. Gahlen wynagradzał sobie, prowadząc z ogromną szybkością swego czarnego Mercedesa.

Jego poziom życia był w zasadzie taki, jak wszystkich niemieckich ludzi interesu: jedna kucharka, będąca od dawna w rodzinie, jedna pokojówka, ogrodnik oraz trzech ludzi z osobistej ochrony, którzy pełnili jednocześnie funkcję „do wszystkiego”. Gości przyjmował nader rzadko, jedynym wyjątkiem była bardzo znana i słynąca z urody aktorka Ruth Leuwerik. Ponieważ mieszkała po sąsiedzku, często przychodziła ku ucieście dzieci Gehlena. Wydaje się, że i sam Gehlen pragnął od czasu do czasu porozmawiać z kimś z odmiennego środowiska. Ale i ta znajomość została po pewnym czasie ograniczona, co było bezpośrednią spowodowane artykułem, jaki ukazał się w jednej z niemieckich gazet, a który w sensacyjnej formie przedstawiał codzienne życie szefa wywiadu. Odtąd Gehlen (choć Ruth Leuwerik nie miała z tą sprawą nic wspólnego) postanowił jeszcze bardziej ograniczyć krąg swych znajomych.

Nieliczne osoby, które znały Gehlena bliżej z racji okoliczności oficjalnych, określają go jako człowieka zimnego, pozbawionego humoru i całkowicie zaabsorbowanego swoją pracą. Relacji tych jednak jest za mało, aby dać pełną charakterystykę Gehlena. Prawie całkowicie brakowało fotografii późniejszych niż z 1943 roku. Zrobiono zresztą (bez jego wiedzy) tylko dwa migawkowe zdjęcia, które zostały opublikowane przez prasę światową: jedno — w łodzi z córką, drugie — pływającego w jeziorze Starnberg. Ale Gehlen był nie tylko tak nieprzystępny dla dziennikarzy, podobnie zachowywał się wówczas, gdy z racji pełnionych funkcji musiał być przedstawiony któremuś z mężów stanu innego państwa, gdy ten przybywał z wizytą oficjalną do Bonn.

Tak na przykład podczas wizyty w Niemczech zachodnich prezydenta Francji generała de Gaulle'a, wyraził on życzenie ujrzenia „osławionego szefa” BND. Gehlen utrzymywał bowiem dyskretne lecz wydane kontakty z gen. Jacquier, szefem francuskiej służby wywiadowczej SDECE. Jeden z obecnych przy prezentacji dziennikarzy tak napisał później w komentarzu na temat tego spotkania:

„Drobną, błądź człowieka o cienko zarysowanych wargach, oczach głęboko osadzonych pod wysokim czołem, lysy, o bardzo odstających uszach — oto jest Reinhard Gehlen. Gdy kanclerz Adenauer przedstawiał go prezydentowi Republiki Francuskiej, to z wielkim jedynie trudem można było usłyszeć wybkana przez niego pod nosem formułę grzecznościową.”

Generał Gehlen nadal pilnie strzegł swojej anonimowości i przez wiele lat mu się to udawało. Miał jednak dzieci, które musiały chodzić do szkoły. Początkowo posyłał je na prywatne lekcje, a potem do szkoły w Pullach. Ale w 1961 roku jego najstarsza córka, która ukończyła 22 lata, oświadczyła, iż ma zamiar kontynuować naukę na kursach handlowych w Monachium. Musiała się na nie zapisać pod swoim prawdziwym nazwiskiem (w tym czasie jej ojciec nadal występował jako dr Schneider, dyrektor Süddeutsche Industrie Co.). Był to także okres, kiedy nazwisko Gehlena coraz częściej zaczęło się pojawiać na szpaltach prasy niemieckiej. Jego anonimowość była więc poważnie zagrożona. Dzieciom nie wolno było przyznawać się, że ich ojcem jest generał Gehlen.

Znamienny jest tu pewien incydent, jaki wydarzył się w szkole, do której uczęszczała jedna z jego córek. Kiedy w czasie lekcji historii profesor córki Gehlena, Katharina, dr Jobst, poruszył problem pruskich oficerów i ich militarystycznego ducha, Katharina zerwała się ze swego miejsca i nie bacząc na surowe przepisy, jakie obowiązywały w niemieckich gimnazjach, wykrzyknęła: „to kłamstwo, panie profesorze!” Dr Jobst potraktował ten wybrzyk z humorem, a skojarzywszy sobie później, iż jego uczennica nosi to samo nazwisko, co szef tajemniczej organizacji szpiegowskiej i BND, o którym wiele pisała prasa, zapytał:

„Czy pani nie jest przypadkiem córką generała Gehlena?”

Katharina jednakże, zgodnie z instrukcjami, jakie otrzymała od ojca, zaprzeczyła, ale dodała, iż jest to jej krewny. Nieco później ten sam dr Jobst został dyrektorem szkoły w Starnberg, do której uczęszczał jedyny syn Gehlena, Christoph. Jobst zdumiony zbieżnością nazwisk napisał do ojca swego ucznia list, prosząc, aby ten zechciał przyjąć funkcję w Komitecie rodzicielskim. Odpowiedź, jaką otrzymał, zawierała wuprzejmą, acz zdecydowaną odmowę. Z listu wynikało, iż z uwagi na fakt, że ojciec ucznia musi dużo podróżować w sprawach służbowych, nie mógłby brać czynnego udziału w zebraniach komitetu. Poza tym Gehlen dodał, iż stoi na ciele przedsiębiorstwa, które utrzymuje żywe kontakty z rządem. Była to więc odpowiedź całkowicie uczciwa!

Jest oczywiste, że z racji działalności jaką prowadził Gehlen, miał, siłą rzeczy, licznych wrogów i to nie tylko wśród ludzi z obcych wywiadów, czy Niemców, którzy się go obawiali. Miał ich również w obozie swych sojuszników. Ujawniło się to szczególnie ostro w czasie rokowań, odnośnie przejęcia organizacji Gehlena przez rząd bński. Rozmowy w tej sprawie ciągnęły się długo i przebiegały z dużymi oporami, zaś osoba Gehlena była często atakowana przez prasę, zwłaszcza zagraniczną. W tym czasie miało też miejsce pewne znamienne wydarzenie.

Otóż w czasie wizyty kanclerza NRF, Konrada Adenauera, w Stachach Zjednoczonych w 1954 roku, ambasador zachodniemiecki w Waszyngtonie wydał obiad na cześć prezydenta Eisenhowera, który zgromadził najwyższe osobistości tak cywilne jak i wojskowe. Wśród zaproszonych na bankiet znalazł się również generał Trudeau, szef wywiadu wojskowego USA. W pewnym momencie podszedł on nagle do Adenauera i oświadczył zdumionemu kanclerzowi, iż ten „nie zdaje sobie chybą dostatecznie sprawy z widma nazistowskiego w Pullach”. Dodał przy tym, że wątpli w uczciwość Gehlena i nie jest przekonany co do korzyści istnienia w Niemczech Zachodnich służby wywiadowczej, popieranej przez Stany Zjednoczone i kierowanej przez byłego oficera nazistowskiego. Kontynuując, zasugerował kanclerzowi, iż z uwagi na oczekiwane niebawem przystąpienie Republiki Federalnej do paktu NATO, powinien jak najszybciej zrobić z tym porządek. Kanclerz, wyraźnie wstrząśnięty tym, co usłyszał, odpowiedział mu, iż miejsce obecne nie nadaje się do tego typu dyskusji i poprosił Trudeau o złożenie mu wizyty w tej sprawie, w ambasadzie w dniu następnym. Nie omieszkali powtórzyć natomiast tego co usłyszał od generała Trudeau. Dullesowi, który wściekły uznał ofensywę Trudeau przeciwko Gehlenowi za atak personalny. Wydawało się jednak, że incydent zakończył się bez rozgłosu. Ta nadzieja rychło okazała się płonna. Sorawa przedostała się bowiem na łamy nowańskie prasy i Dulles zażądał od Eisenhowera „głowy” Trudeau.

deau. Ten ostatni miał wprawdzie potężnych sojuszników, ale bracia Dullesowie okazali się mocniejsi i wkrótce po tym incydencie Trudeau znalazł się na Dalekim Wschodzie u boku generała Leunitzera, dowódcy sił USA w tym regionie. Partia była więc wygrana. Adenauer zaś wkrótce po swym powrocie do NRF ogłosił zaangażowanie się Republiki Federalnej w obronę europejską i oświadczył, że „jego drogi generał Gehlen” jest jedynym człowiekiem, posiadającym niezbędne kompetencje i odpowiedzialnie zasługującym na gwarantowanie one właściwe pokierowanie nową zachodniemiecką służbą szpiegowską. To wszystko nie zamknęło jednak ust przeciwnikom Gehlena i komentowali oni nadal w sposób nieprzychylny jego mało pomyślny wygląd zewnętrzny, jak gdyby miało to wpływ na jego charakter i działalność w przeszłości i w przyszłości.

W tym miejscu ciekawa jest charakterystyka rysopisu Gehlena, sporządzona w formie listu gończego (przez ministerstwo bezpieczeństwa publicznego NRF): „Wzrost 1,70 m; usta: wąskie. Twarz: owalna i mała. Włosy: rzadkie. Nos: szpiczasty. Oczy: wodnisty-niebieskie. Wąsy: silne, według mody litewskiej (sic!). Wygląd przypomina urzędnika bankowego. Nosi przeważnie tyrolski kapelusz z zieloną, wąską, zniszczony i brudny, stary sportowy płaszcz lub stary płaszcz nieprzemakalny”.

Konto Gehlena było obciążone wieloma brudnymi akcjami, które prowadził, zwłaszcza przeciwko państwu socjalistycznym, szczególnie zaś przeciwko NRD, Polsce i ZSRR. Był okres kiedy wydawało się, iż nie ma w NRF takiej siły, która mogłaby go zagrozić. Jego odejście na emeryturę wciąż ulegało opóźnieniu. Ale jak powiada stare przysłowie: „Nosil wilk razy kilka, ponieśli i wilka”, tak więc wreszcie i jemu powinęła się noga. Tarcia, jakie wystąpiły w BND na początku 1968 roku co do następcy Gehlena na stanowisku szefa (rząd sugerował kogoś bez nazistowskiej przeszłości i wysuwał przy tym kandydaturę generała Wessela. Gehlen zaś popierał generała Wendlanda) zastrzeżone dodatkowo przez tzw. afere Picarda a także naciski wicekanclerza Brandta, spowodowały, że kanclerz Kiesinger musiał zrezygnować z projektu pozostawienia Gehlena na stanowisku do czasu wyborów powszechnych w NRF. Tym samym Gehlen zmuszony został do ustąpienia się ze sceny politycznej Niemiec zachodnich jeszcze wiosną 1968 roku.

Obecnie poświęcił się on zupełnie innej — i raczej dość zdumiewającej — działalności. Został bowiem głosem Ewangelii. Wykazując przy tym dużą energię prowadził gorliwą kampanię na rzecz budowy kościołów i szkół przykościelnych w katolickiej Bawarii. Tak więc generał Gehlen wystąpił wreszcie z cienia, którym się przez cały czas otaczał.

ANDRZEJ BLAJER

Początki zgierskiego przemysłu barwnikarskiego głąb w pomroce dziejów, jak przystało w każdej rzetelnej historii. Gdzie tam plątają się w starych zapisach nazwiska Jana Lange i Karola Bogumiła Saengerów, którzy w latach dwudziestych zakładali pierwsze farbiarnie, ale tak naprawdę to prapoczątki dzisiejszej „Boruty” lokalizuje się w starej szopie przy ul. Zegrzyńskiej 6 w samym środku miasta... Kiedy uruchomiono wytwórnię trudno dziś dokładnie stwierdzić. Pewno jesienią 1894 roku, bo właśnie latem tego roku Jan Śniechowski zerwał współpracę z Rosenblatem...

Ale po porządku. Śniechowski był maniakem chemii. Skończył co prawda studia inżynierskie w paryskiej Ecole les Ponts et Chansses (Budowy Dróg i Mostów) — ale chemia była jego pasją. Gdzieś pod Mińskiem Mazowieckim próbował otrzymywać amoniak z torfu — bez skutku zresztą; wreszcie zaczął się interesować barwnikami.

Żył ponoć z korepetycji — uczył synów właściciela łódzkiej tkalni Rosenblata a przy okazji — jak głosi legenda — poderwał mu żonę. W wolnych chwilach jednakże udało mu się Rosenblata namówić na doświadczenia z barwnikami. Gwałtownie przerwany romans kończy także eksperymenty Śniechowskiego.

Tyle legenda. A prawda? Nie wiadomo — mogła ona wyglądać prozaicznie. Mógł Rosenblat cofnąć subsydia na eksperymenty, mógł mu się interes wydać niepewny — wszak inni stosowali barwniki z importu...

Zresztą postać założyciela „Boruty” zbyt mocno omotana została literacką legendą, aby dziś można ją od Śniechowskiego oddzielić. W roku 1895 ukazała się powieść W. Kosiakiewicza „Bawelna” — jej bohaterem jest chemik Rumiński, którego losy powieściowe bardzo pasują do Śniechowskiego. Trzy lata później ukazuje się „Ziemia Obiecana” Władysława Reymonta. I tu występuje właściciel zgierskiej wytwórni barwników — Kurowski, i tu losy innego bohatera — Borowieckiego częściowo pasują do Śniechowskiego... Jedni twierdzą, że Reymont znał osobiście Śniechowskiego — inni, że znał wcześniej wydaną powieść Kosiakiewicza.

Faktem jest jednak, że latem 1894 Jan Śniechowski znalazł się na łodzi i wybrał Zgierz. Faktem jest także, że dysponował „kapitałem zakładowym” w postaci 8 kadzi, 2 pomp, 2 pras i suszarki. Ale już nie wiadomo skąd się wziął w tym momencie

m. in. bordo, błękit krezotynowy, brunat, czerwien congo...

Ale dopiero rok 1904 przynosi odkrycie chemika Władysława Flaczyńskiego, które przylgnęło do fabryki na zawsze. Oto Flaczyński tworzy nowy rodzaj bardzo trwałego barwni-

botników, było wówczas około 20 różnego rodzaju budynków, cztery kotłownie, dwa laboratoria — w tym jedno dla produkcji kwasu siarkowego wytwórni „Salfio”, której akcje posiadał także Śniechowski. Tuż przed wybuchem wojny — w „Borucie” i „Salfio” pracowało 12 chemików, także absolwentów polskich uczelni. Był tu największy na terenie Polski zespół naukowo-badawczy w zakresie kolorystyki.

Cofnijmy się jednak w czasie i spojrzmy na warunki pracy na przełomie wieku XIX i XX. Dzień robotczy do 1905 roku przekraczał 11 godzin. W „Salfio” na przykład co trzeci robotnik ulegał wypadkowi. Potem sytuacja nieco się poprawiła — po Rewolucji 1905 dzień pracy skrócono do 9 godzin — po upadku znów przywrócono 11-godzinną pracę — aż do wybuchu I wojny.

Na przełomie XIX i XX wieku place robotników „Boruty” utrzymy-

JERZY WILMAŃSKI

ZACZEŁO SIĘ W DREWNIANEJ SZOPIE

ka — czerń nazwaną „Boruta A”. Barwnik ten zdobywa sobie popularność i według starej receptury Flaczyńskiego produkowany jest do dziś.

W roku 1906 w „Borucie” pracuje już 50 osób — nadal jednak zakład mieści się w starej szopie, choć dobudowano magazyn i jeszcze dwa — trzy pomieszczenia. Już wówczas fabryka zetknęła się po raz pierwszy z problemami, które dziś nazywamy „ochroną naturalnego środowiska”. Mnożą się skargi do Rady Miejskiej na zapach octu i zgnitych jaj — dochodzi nawet do procesu o zanieczyszczenie Bzury.

Nie ma innej rady — właściciele przenoszą fabrykę na peryferie, na ulicę Leśną (dziś A. Struga). Już w

wały się w granicach 4,5—5,5 rubla tygodniowo. Koszt utrzymania rodziny natomiast sięgał 5 rubli, z tym, że ów szacunkowy koszt utrzymania nie uwzględniał odzieży, obuwia, lekarstw itp.

Wojna roku 1914 zdruzgotła fabrykę poważnie. Niemcy podpalili budynki — ogólne straty wyniosły 50 proc. wartości zakładu. Śniechowski wyjechał do Rosji — Hordliczka został w Zgierzu. On to właśnie już po zajęciu fabryki przez Niemców wykradł receptury barwników. Coż jednak warte były receptury wobec kompletnie zdewastowanych urządzeń. Okupant wywoził wszystkie żelazne i miedziane części aparatury...

Po wojnie Śniechowski — liczący wówczas około 70 lat — nie podjął już trudu odbudowania fabryki. Zmarł zresztą w parę lat potem, w roku 1922.

Powstaje więc nowa spółka, w której przeważają nakłady Banku Spółek w Poznaniu i... Ministerstwa Spraw Wojskowych. Kredyt wynosi 10 mln złotych i od roku 1920 zaczyna się systematyczna odbudowa. Oczywiście poznański Bank Spółek dźwiga największy pakiet akcji, ale na przykład jednym z akcjonariuszy jest... późniejszy prezydent Ignacy Mościcki. Zresztą, jak wiadomo, chemik z wykształcenia.

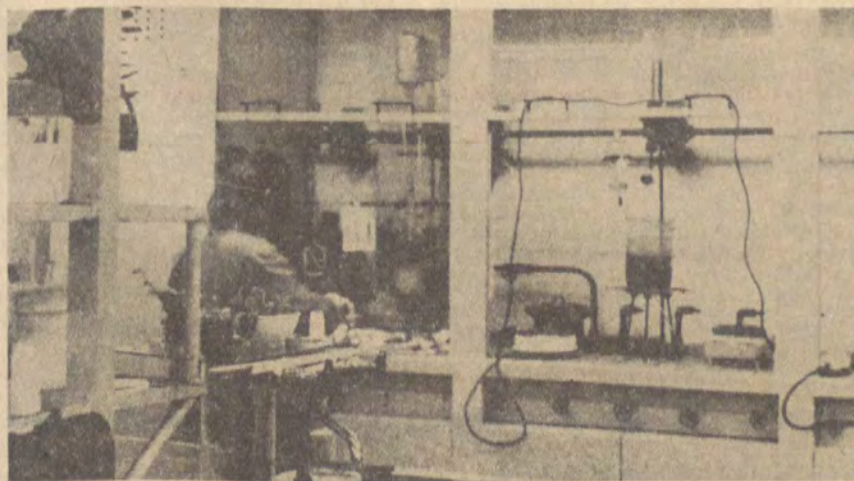
W tym też roku 1920 zakupuje się nowe działki, w trzy lata później „Boruta” zajmuje powierzchnię ponad 50 hektarów.

A potem już normalnym ówczesnym trybem — załamanie finansowe, pożyczki, nowe akcje na podreperowanie budżetu... Do „Boruty” wchodzi obce kapitały, jak np. angielska „British Deys”, podejmuje się próby państwowego monopolu... Od roku 1924 „Boruta” zaczyna wykazywać straty.

W rok później w tę sytuację wkracza Bank Gospodarstwa Krajowego, wykupuje wszystkie akcje, wciąż jednak mimo to grozi „Borucie” likwidacja. W latach 1929—1939, w ostatnim dziesięcioleciu międzywojennej Polski zgierska fabryka barwników staje się monopolistycznym przedsiębiorstwem państwowym. Ale, jak wiadomo, w latach 1929—39 szalał kryzys w Europie, więc kolejne zachwianie egzystencji fabryki. Tylko państwowe zamówienia i pożyczki uratowały wówczas „Borutę”.

* * *

I w ten sposób, odwracając karty fabrycznej kroniki, doszliśmy do czasów, które historyk nazwie współczesnością. Dzień dzisiejszy „Boruty” zapisany jest już na innych kartach, na wykresach planów, zawarty jest we wskaźnikach produkcji, na listach dostaw eksportowych... W ciągu osiemdziesięciu lat zgierska fabryka przebyła ogromną drogę od tamtej starej szopy na rogu Zegrzyńskiej i Pańskiej. Aby ogrom i trud tej drogi sobie uświadomić, warto było zagłębić się w historyczny zapis z fabrycznego archiwum.



Fot. Włodzimierz Parys

drugi wspólnik z forsa — Ignacy Hordliczka. Nazwisko oczywiście w dziejach polskiego przemysłu jest znane — była to „spółczesna rodzina” czeskich przemysłowców — ale jakim cudem udało się spłajtowanemu chemikowi namówić Hordliczkę na ten kolorowy interes — nie wiadomo.

To że wybrano właśnie Zgierz nie dziwi. W Łodzi było coraz trudniej o rozległe działki — ceny ich rosły, wyższe były także płace robotników... Przy tych wszystkich zaletach Zgierz był jednak blisko Łodzi — a przecież barwniki miały być produkowane z myślą o łódzkim przemysle.

Tak więc gdzieś w końcu 1894 ruszyła w szopie przy ul. Zegrzyńskiej 6 produkcja prostych barwników z niemieckich półfabrykatów. Przedsiębiorstwo wpisano do rejestru jako spółkę jawną „Śniechowski i Hordliczka, Fabryka Barwników, Zgierz”. Historia „Boruty” zaczyna się więc od szopy, w której pracowało 10 robotników. Płon administracyjno-techniczny — jak to się dziś mówi — składał się z pięciu osób. Oprócz właścicieli jeszcze inż. Gerlicz i dwaj biuralści.

W sześć lat później pozycja fabryki zaczęła się ugruntowywać. W roku 1900 wytwarzano już 20 kolorów,

latach 1905—1906 zaczęło wykupywać działki w tym rejonie — wydano pakiet akcji na 250 tys. rubli — a w roku 1908 poczęto stopniowo przenosić „Borutę” na nowe tereny o powierzchni kilkunastu hektarów, czyli mniej więcej 1/10 powierzchni obecnego zakładu. Do rejestru wpisano nową nazwę — „Towarzystwo Akcyjne Fabryki Barwników Anilinowych i Przetworów Chemicznych w Zgierzu”.

Akcje jednak najprawdopodobniej nie znalazły się w wolnej sprzedaży, lecz dobierano akcjonariuszy drogą osobistych pertraktacji, aby zapewnić faktyczny nadzór dwóm właścicielom. Do zarządu weszli m. in. twórca „Boruty A”, dr W. Flaczyński, adwokat Karol Kozłowski oraz Karol Herbst, dyr. generalny zakładów Scheiblera. Prawdopodobnie za udziałami Herbst stał sam Scheibler, który się często swoim dyrektorem zastawiał, gdy sam nie chciał filmować swojego kapitału.

Wówczas to w „Borucie” pracuje już 150 osób; jest to jedna z większych fabryk barwników w Królestwie.

Pierwsza wojna światowa zastąpiła fabrykę dość zasobną i poważnie rozbudowaną. Według relacji starych ro-



Zdjęcia wykonał: RYSZARD TABAKA

Mistrzostwa Świata w Monachium przeszły już do historii. Dobiegły końca rozgrywki ligowe sezonu 1973/1974, ale za kilka dni rozpoczyna się nowe — sezon 1974/75. I już 1 września 1974 roku odbędzie się w Finlandii inauguracyjny mecz eliminacji do Mistrzostw Europy w piłce nożnej. W meczu tym z reprezentacją Finlandii zmierzy się polska jedenastka. Po zimowej przerwie nasza drużyna spotka się z drużynami Włoch i Holandii. Los nie poskapil nam jak widać emocji, obie te drużyny pamiętamy z występów na stadionach RFN w czerwcu i lipcu tego roku.

Zupełnie jednak inaczej myślimy i mówimy o piłce nożnej przed Mistrzostwami Europy, niż myśleliśmy i mówiliśmy przed Mistrzostwami Świata. Sukcesy polskich piłkarzy wyprzedziły polskich kibiców ze stanu nerwowości, popłochu a czasem i rezygnacji. Ochłonęliśmy już też z radośnej euforii po sukcesie i zafakcją się rzeczowym rozważaniem o piłce nożnej. Wielu, którzy przed Mistrzostwami Świata w Monachium nie wierzyło w utrzymanie się polskiej drużyny, nagle zmieniło ton i zaczęło zastanawiać się, jakie były przyczyny naszego sukcesu, a także powtarzać za prasą zachodnią o „polskiej szkole piłkarskiej”.

Stefan Grzegorzczak — redaktor naczelny „Piłki nożnej” — pisał w „Trybunie Ludu” w cyklu wypowiedzi zatytułowanym: „Po sukcesie piłkarzy — Źródła i wnioski”:

„Poszukiwania źródeł sukcesów trwają. Tak jak przed X Mistrzostwami Świata w piłce nożnej, na podstawie mało budujących spotkań sparingowych wrożono krótką karierę polskiej drużynie, a wielki chór głosów pytał ironicznie: po co oni tam iada, tak teraz wszyscy z pasją zajmują się badaniami przyczyn bezprzykładnego triumfu”.

A prezes Polskiego Związku Piłki Nożnej — Jan Maj w tym samym cyklu „Trybuny Ludu” pisał:

„Pamiętam — po Olimpiadzie w Monachium — na której polscy piłkarze zdobyli złoty medal, kiedy tak komentowano ten wyczyn — „ale mieliście szczęście”. Sukces na Wembley i wyeliminowanie Anglii zmusiły obserwatorów do refleksji. Zrozumieli, że tamto osiągnięcie miało mocniejsze podstawy niż to się wielu wydawało. Dziś, po mistrzostwach świata nikt już nie może mieć najmniejszych wątpliwości — srebrny medal to efekt trwałego postępu, wyraźnego kroku naprzód, jakiego dokonał nasz sport piłkarski”.

A więc szczęście czy system?

„Jak długo jednak można mieć szczęście? — pyta w „Trybunie Ludu” Andrzej Biliński. — Trzy mecze, pięć, no powiedzmy, dziesięć. Ale kilkadziesiąt?”

I ten sam Andrzej Biliński odpowiada w artykule pod tytułem „Trenerskie szczęście”:

„Malo kto wie jednak, że sukces w meczu z Brazylią w walce o III lokatę na świecie był 31 zwycięstwem drużyny pod kierunkiem trenera Kazimierza Górskiego od czasu objęcia przez niego funkcji opiekuna pierwszej reprezentacji kraju”.

Ale nie bez racji Andrzej Biliński też pisze: „Wśród wielu ludzi bliżej związanych z piłką nożną długo panowała opinia — a sache, że tu i ówdzie nadal panuje — że Kazimierz Górski jest „człowiekiem w czepku urodzonym”. Krótko mówiąc — po prostu ma szczęście. Wystarczy by się nie ogolił dzień przed meczem i wynik „biało-czerwoni” mają już z głowy”.

Niedawno ukazała się w nakładzie 30 tys. i od razu sprzedawana była spod łady książka Kazimierza Górskiego „Z ławki trenera”. W książce tej autor mówi też, co myśli o swoim niegoleniu się przed meczem:

„Ja też z zasady nie goliłem się w dniu meczu. Wolno mi? I niech sobie nikt nie wyobraża, że fakt ten łączy ze sportowym wynikiem jakiś spodziewany sukces. Po prostu, kiedy siedzę na ławie rezerwowym i zbytnio przeżywam grę moich podopiecznych, mam — z wyjątkiem podbródka — szczęśliwy zarost wpływa k rzyście na moje poczucie rzeczywistości, mam blystkejsze spojrzenie. Nie wierzyście? Wasza sprawa. Mnie to pomaga”.

Oczywiście, że nikt w to nie wierzy, a już najmniej sami piłkarze. Podczas występów na Olimpiadzie w Mona-

chium umówili się, że podczas każdego meczu będą zakładali te same skarpetki. Jan Tomaszewski w każdym meczu w czasie Mistrzostw Świata miał na sobie zawsze podkoszulkę założoną na lewą stronę, a także ślubował, że od pierw-

PIŁKA JEST OKRĄGLA?

szego przegranego meczu nie zgoli włosów i zawsze wozil ze sobą maszynkę do golenia. Zgolił je dopiero po przegranej z RFN. Bez przesady jednak. Takie i temu podobne „zaboboniki” wpływają na samopoczucie, działają uspokajająco, ale nie zastąpią umiejętności i dobrej formy.



Fot: Archiwum

Cytowany już wcześniej Stefan Grzegorzczak pisał:

„... podstawowym źródłem szybkiego postępu polskiego piłkarstwa w ostatnich kilku latach jest stworzenie właściwych warunków rozwoju najpopularniejszemu sportowi w Polsce, jak również dobranie odpowiednich ludzi do realizacji zamierzeń, przekazanie wielkich możliwości działania we właściwe ręce. Ci którym powierzono kierowanie reprezentacją Polski i przygotowanie do Mistrzostw Świata nie tylko kochają sport, przede wszystkim znają się na nim, znają piłkarstwo nie tylko z krzesła w łóżu honorowej czy biurka urzędnika w sekretariacie klubu. Znała prawa rządzące rozwojem sportu od podstawki, od strony trenera i zawodnika”.

KAZIMIERZ GÓRSKI: urodził się w

1921 roku we Lwowie. W tamtejszym Robotniczym Klubie Sportowym grał w piłkę nożną od 15 roku życia. W 1939 roku został powołany przez Wacława Kuchara do drugiej reprezentacji Lwowa. Grał też w „Spartaku” a później „Dynamo” Lwów. Jesienią 1944 roku wstąpił jako ochotnik do wojska polskiego, a po zakończeniu wojny powrócił do działalności sportowej. Przez 8 lat — od 1945 do 1953 roku — grał w drużynie WKS „Legia” w Warszawie. Wystąpił też jako napastnik w reprezentacji Polski w meczu z Danią.

W 1953 roku Kazimierz Górski rozpoczął karierę trenera, najpierw jako asystent Wacława Kuchara w WKS

„Legia”, a później był asystentem Janosza Steinera, węgierskiego trenera „Legionistów”. Później już samodzielnie trenował drużyny „Marymontu”, „Lublinianki”, „Gwardii” i „Legii”. W 1955 roku w Polskim Związku Piłki Nożnej objął opiekę nad drużyną juniorów. W 1966 roku — objął opiekę nad drużyną młodzieżową. Pod koniec 1970 roku zo-

kości, zwinności, a nawet skoczności. Okazało się, że wielu zawodników zalanych nawet do ścisłej czołówki, miało pod tym względem poważne braki. Mój generalny wniosek w tej sytuacji brzmiał: trzeba je szybko nadrobić, poprawiając ogólną sprawność. Jak tu bowiem mówić o doskonałości techniki, o pogoni za piłkąską efitą, jeśli nasze „gwiazdy” nawet pod tym względem znacznie ustępują swoim kolegom z innych krajów? Sposób rozwiązania: na grupowaniu panowała prawdziwie koleżeńska atmosfera. Można chłopcy wyczuli w pierwszych dniach moją debiutancką treść i chcieli mi w ten sposób pomóc, a później

wpadli już w nałóg i nie wyobrażali sobie, aby mogło być inaczej. Kadra zmieniała się przecież, przybywali nowi adeptci, zarabiając się niezmiennie tym dobrym, pełnym zyciowości nastojem, który sprzyjał wzajemnym wysokim wymaganiom”.

I dalej: „Warto jeszcze wspomnieć o ciekawej dyskusji, jaką odbyliśmy w gronie trenerów i lekarzy. Tych pierwszych reprezentowali oprócz mnie Strzeliu, Gmoch, Zientara, i Kowalski; drugich — Soroczko, Makowski, Caputa i Korycki. Nikogo z nas nie trzeba było przekonywać o ścisłej współpracy, jak również o konieczności zwalczania błędnych, przestarzałych poglądów, że lekarz jest potrzebny tylko na boisku, gdy zawodnik ulegnie kontuzji. A obciążenie treningowe? Kto, jak nie lekarz klubu czy reprezentacji, razem z trenerem powinien ustalać indywidualną dawkę zajęć kondycyjnych dla poszczególnych zawodników, zajęć podnoszących a nie osłabiających ich sprawność fizyczną? Kto, jak nie lekarz, upoważniony jest wraz z trenerem do analizowania sfery psychicznej zawodnika? Wiele z wniosków do jakich doszliśmy wspólnie podczas tej oraz innych dyskusji prowadzonych na obozie w Jugosławii, udało mi się wprowadzić w życie podczas mojej działalności na roli szefa reprezentacji”.

Obok jednak doświadczeń nagromadzonych latami decydowały i przypadki.

„Obmyślałem właśnie koncepcję meczu ze Szwajcarią — wspomina Kazimierz Górski w swojej książce — kiedy spotkałem w Związku Grzegorza Aleksandrowicza, jednego z najbardziej znanych i zasłużonych dla polskiego piłkarstwa dziennikarzy.

— Mam dla pana ciekawą propozycję — powiedział mi przy powitaniu — Zgromadźmy spór informacji o Hajwetach i chętnie je oddam do pańskiej dyspozycji — po czym wygłaszał z kieszeni garść gęsto zapisanych kartelek. Było tam rzeczywiście wszystko o naszych przeciwnikach... Bardzo mi pomogły przy ustalaniu taktyki gry. Czemu więc nie przyjąć jako zasadę zbieranie wszelkich dostępnych informacji o potencjalnych przeciwnikach? — pomyślałem. Wynagradzić to będzie szczególny zabieg, dobrej organizacji, nakładu środków, ale się opłaci.

Jacek Gmoch zgłaszał już wcześniej propozycję zorganizowania piłkarskiego wywiadu. Pora więc ją teraz zrealizować”.

Minal rok trenerskiej pracy Kazimierza Górskiego i pod koniec stycznia 1972 roku dokonał on podsumowania swojej działalności:

„Oto najważniejsze wnioski, do jakich doszedłem. Po pierwsze — nie należy bać się eksperymentowania, zwłaszcza wobec braku wyraźnego dystansu w grze zespołu. Stawiać trzeba na nazwiska, ale na aktualną formę poszczególnych zawodników. Po drugie — nie można budować formy zespołu tylko na teoretycznych wyliczeniach, ale niustannie ją sprawdzać w grach kontrolnych. Po trzecie — należy zwracać uwagę także na takie czynniki, jak samopoczucie piłkarzy i ich stosunki rodzinne. Trzeba wytworzyć atmosferę wzajemnego zaufania między

trenerem i zawodnikami, w której będzie stać ich na szczerość i zgłoszenie swej niedyspozycji jeśli np. nie będą czuli się na siłach zagrać zwłaszcza w meczach o wysoką stawkę. Po czwarte — dobry zespół nie może być wypadkową różnych dążeń i tendencji. Potrzebny mu jest jasno określony cel (np. zakwalifikowanie się na olimpiadę), do którego zgodnie dąży wszyscy jego członkowie, a także program, którego realizacja cel ten może przybliżyć. Po piąte — konieczny jest „bank informacji”, aby poznać możliwie jak najlepiej przeciwnika i ustalić najwłaściwsze założenia taktyczne, umożliwiające odniesienie nad nim zwycięstwa. Bank otrzymał na początku 1972 roku oficjalny status, a jego twórcą i organizatorem był Jacek Gmoch”.

Kiedy na początku 1974 roku Kazimierz Górski pisał „Z ławki trenera” wspominał mecz z Albanią z 1971 roku, stwierdził:

Różnica, jaka dzieli aktualną reprezentację od tamtej sprzed trzech lat, polega właśnie na tym, że dziś takich meczów się nie przegrzywa. Po prostu nie ma się prawa. Ktoś na to odpowie, a jednak piłka jest okrągła i wszystko może się zdarzyć. Z pewnością tak, ale klasowa drużyna takie losowe przypadki sprowadza do zera”.

W książce „Wielki finał”, traktującej o „drodze polskich piłkarzy do złotego medalu olimpijskiego” Kazimierz Górski tak mówi o sobie:

„Nie byłem i nie jestem „cudownym dzieckiem”. Jestem normalnie myślącym i pracującym człowiekiem. Umiem wyciągać wnioski z przeszłości. To zasługa doświadczenia. Mam go sporo: pracowałem z różnymi trenerami, podpatrywałem ich, przysłuchiwałem się rozmowom, wystudiowałem ich rad, później sam analizowałem ich wyniki i drogę, którą do nich doszli. Wyląowałem najlepsze pomysły, rady. Ja się tego nie wstydzę. Robię to dla dobra sprawy. Często „rozważam sam ze sobą”. Czy słusznie postąpiłem?... W książkach o tym nie piszę, więc czasem trzeba sobie przypomnieć, jak w podobnych sytuacjach postępowali inni i jaki był rezultat. (...)

— Myślę jednak, że dobry trener musi mieć jakiś szczególny dar, umiejętność, dodatkna cecha. Czy ja mam? Umie współpracować i zgodnie współdziałać z ludźmi. Ale kiedy sam o czymś decyduje, mam chyba — dzięki doświadczeniu, własnemu doświadczeniu i moich starszych kolegów — spora łatwość przewidywania tego, co się może stać. Staram się, szczególnie wtedy, gdy odważam. Nie boję się następstw... Lubie zarzykować. bo... czasami to jest moja ostatnia szansa. Mam duże następnika. Kto chce zdobyć bramkę nie może tylko czekać na biał rywal. Musi sam podjąć jakąś sprytną akcję... Musi przechrzyć przeciwnika... Trener powinien mieć w sobie żytkę grać...”

Złoty medal na Olimpiadzie w 1972 roku i srebrny w Mistrzostwach Świata w 1974 — to już historia. Przed nami nowe zmagania piłkarzy. Czy możemy być spokojni o los tych walk? Czy metody, jakie stosowano do tej pory będą zdawały nadal egzamin w konfrontacji z przeciwnikami? Co o tym sądzi sam Kazimierz Górski? Odpowiedź na to pytanie dał on w artykule napisanym dla „Trybuny Ludu” w cyklu: „Po sukcesie piłkarzy — Źródła i wnioski”:

„... nasze obecne wysiłki powinny zmierzać w tym kierunku, aby stały się pracą, którą towarzyszył przygotowanie do startu w mistrzostwach — stał się powszechnie obowiązującym we wszystkich ligowych klubach. Taka zaś postawa, jaka cechowała na boisku naszą reprezentację była wzorem do naśladowania dla ligowych drużyn. Kunktatorstwo, ciutanie punktów, walka o remis, to postawa, która w sporcie nie poplaca.

Swoi generalny wniosek sformułowałbym tak — w sporcie nie ma cudów ani genialnych medali. O wszystkim decyduje solidna, codzienna praca, konsekwentne dążenie do celu. Trzeba wylać wiele potu, aby ten cel osiągnąć. Ale taki wysiłek sownie się opłaca”.

Opracowała:
BOGDA MADEJ

LEGENDA NAPOLEOŃSKA

„Możliwości wskrzeszenia postaci prawdziwego Napoleona prawie, że nie widać. Jakiegokolwiek zbliżenia by dokonać, zawsze jego żywa twarz zastygnie w naszych oczach w kształt posagu. Może wtedy, gdy wymrze ostatnia generacja dotknięta sporem o Napoleona, następne pokolenia obejrzą go sobie takim, jakim był naprawdę. Bo przecież kiedyś wygaśnie legenda, dobra i zła, choćby dlatego, że zstąpią się razem z problemami rozrachunku z przeszłością rozbiórów”.

Słowa te napisał polski historyk w 1969 r., po półtora wieku badań nad Napoleonem i jego epoką, po półtora wieku zmagania nauki historycznej z legendą, zmagania co tu ukrywać bezpodstępnie, skoro nie potrafiły one dotąd i pewnie nie zdołają w bliższej przyszłości przezwyciężyć legendy, tej, która nieświe uwielenie dla Wielkiego Cesarza, i tamtej, która widzi w nim ponurego, chciwego władzy Korsykańina. Legenda ma już swoją własną historię, która obfituje w paradoksy. Przypomnijmy sobie kampanię „anty-

napoleońska” z pierwszych lat powojennych: jakże często powoływane w niej argumenty nawiązywały — oczywiście bezwiednie — do arsenału argumentacyjnego najczarniejszej reakcji czasów ponapoleońskiej Restauracji, choć w całkiem odmiennym szacie słownej! Legenda była i jest orężem społecznej prawicy, czego najdobitniejszym przykładem bonapartyzm drugiej połowy XIX stulecia, ten, z którym tak drastycznie, z tak wielką pasją rozliczał się K. Marks. Legenda była i jest — nie sposób tego nie dostrzec — także orężem nurtów lewicowych: przypomnijmy romantyczny bonapartyzm polski, choćby w tej postaci, jaka nadawał mu A. Mickiewicz, zagladnijmy na karty jednej z najwspanialszych francuskiej powieści historycznych, do „Wielkiego Tygodnia” L. Aragona, a przekonamy się, że daleko tu do jej krytycznego przezwyciężenia. Każde pokolenie myśli — dzieje się tak nie tylko we Francji i nie tylko w Polsce — proponuje coraz to inną optykę oglądu przeszłości, wychodząc z własnych, coraz to odmiennych doświadczeń,

każde też odmiennie ocenia Napoleona, chociaż żadne nie wyzwoliło się spod ciśnienia jego legendy. Bo przecież — stwierdzmy tu z naciskiem — nie o Napoleona tu chodzi, nie o to, jakim on rzeczywiście był w przeszłości, ale o wartości, które słusznie czy nie łączymy z jego imieniem. Spór o Napoleona, jaki toczy się od stu pięćdziesięciu lat w piśmiennictwie wielu krajów europejskich, jest w gruncie rzeczy nie sporem o cesarza, ale sporem o najzupełniej współczesne — aktualne wartości, które wciąż reaktualizują się w dziejach Europy. I dlatego byłoby naiwnością sądzić, że ujawnienie przez historię takiego, bądź innego faktu, świadczącego iż Napoleon nie był takim, za jakiego uchodził, w czymkolwiek obalił legendę. Nie jak dotąd nie wskazywać, aby owe wartości, które zasadnie czy bezpodstawnie łączymy z imieniem cesarza szybko się przeżyły i dlatego sadze, iż jest utopią przypuszczać — jak to czyni B. Grochulski w przytoczonym na wstępie zdaniu — iż wymrze owa ostatnia generacja „dotknięta sporem o Napoleona”. Boviem — podkreślam raz jeszcze — nie o Napoleona tu chodzi, ale o to, co z nim wiążemy, dawniej, potem bądź dzisiaj, o nadzieje polityczne, wzorce polityczne i społeczne, modele zachowań...

Rzeczywistość epoki napoleońskiej była tak pojemna, tak obfitująca w zmiany, że może dostarczyć wzorców bez liku na najrozmaitsze okazje. To wcale nie przesada: do Napoleona nawiązywały ruchy wolnościowe, jak również ułajmienie narodów. Obcho- dy napoleońskie w Paryżu organizowano z rozkazu Hitlera, który chętnie pozował na cesarza. Wówczas to, podczas II wojny światowej, J. Stalin wskazywał, że „Hitler jest podob-

ny do Napoleona nie bardziej, niż kościół do Iwa”, że Napoleon w walce z reakcją znajdował oparcie na siłach postępu. Wówczas to polscy bojownicy walki podziemnej przyjmowali pseudonimy, zaczerpnięte z arsenału legendy napoleońskiej. Jako młody chłopak widziałem na szosie warszawskiej w Łowiczu wymalowane białą farbą wielkie cyfry: 1812... Owcześnie rzeczywistość różnorodnie ewokowała legendę...

Aż dziwne, że trzeba było czekać tak długo, by historiografia polska podjęła problem legendy cesarza. Być może spór o Napoleona był u nas zbyt zacietę — zbyt aktualne, by można było spojrzeć na nie z góry, jako na dzieło legendy. Jest faktem, że trudu tego podjął się dopiero Andrzej Zahorski, wbytny znawca epoki napoleońskiej, uczonej, który sam nie należy bynajmniej do osobistych przeciwników Cesarza. Wstępne rezultaty ogłosił A. Zahorski w książce, wydanej przed kilkoma laty (1971), pod tytułem: „Z dziełw legendy napoleońskiej w Polsce”, dziś zaś otrzymujemy jego nowe, znacznie obszerniejsze dzieło, minnowie monografię pt. „Spór o Napoleona we Francji i w Polsce”, wydana Ndzawczaj nieknie przez Państwowe Wydawnictwo Naukowe (1974). Prowadząc swego czytelnika tropem dziełw legendy uczonej stara się mu ułatwić zobiektywizowanie poglądów na przeszłość, pomaga mu rozszerzyć i pogłębić jego horyzont historycznej wiedzy.

A. Zahorski nie zamyka sporów. Co więcej, powiada, że „spór o Napoleona nie zakończył się w 1969 roku w dwustuletnią rocznicę urodzin cesarza i zapewne nigdy zakończony nie zostanie. Piszacy te słowa — ciągnie dalej A. Zahorski — sądzi, że fenomen geniuszu Napoleona zawsze będzie

działal na wyobraźnię ludzką, rozpalal namiętności, budził zaciekle spory. I w dalszym ciągu, jak do tej pory, jedni uważać będą jego losy za przestrożę, uzasadniając, że obrał drogę zbrodni i klęski, a inni wywodzą z jego życia, iż był prekursorem postępu, dobroczynną ludzkości, mecenisziem, „człowiekiem wieku”, wskrzesicielem Polski”.

Tylko częściowo pisze się na to konkluzję wybitnego uczonego. Podobnie jak on nie wierzę w wygasnięcie sporów o Napoleona, nie tylko w moim pokoleniu. Ale — i tutaj zachodzi różnica — nie wierzę również, by to geniusz Cesarza sprawiał, że spieramy się on tak długo i spieranie będziemy jeszcze. Z jego imieniem, z jego epoką, wiąże się bowiem — czy tego chcemy czy nie — wszystko, co najważniejsze w naszych dziejach nowożytnych: sprawa niepodległości, orientacji politycznych, kształtu rządu, stosunków społecznych i ustrojowych i wiele, wiele innych.

Wciąż żyjemy w świecie, który zaprogramowała epoka Wielkiej Rewolucji Francuskiej, w którym funkcjonowała wartość, wyniesiona wówczas na piedestał dążeń ludzkich. Dopóki te wartości będą dla nas żywe, dopóty w ten, czy inny sposób będzie się nam przypominał postać Napoleona, choćby nie wiem ile wykryto na niej plam, choćby też istniały bezdnie legendy, wbrew nadziejom historyków, marzących o obiektywnym poznaniu, a także dzięki ich twórczości, której tak trudno uwolnić się od ciśnienia legendy.

ANDRZEJ F. GRABSKI

Dalszy ciąg ze str. 1

też mi żal, i śpiewu skowronka nad polami. Woda stąd ucieknie, drzewa pomrą albo je wytną, trawa uschnie. W miejscu, gdzie płynie rzeka, będzie martwe pole. Cóż z tego, że dokopią się do węgla, jeśli życie, które tu jest ucieknie.

JESZCZE JEDEN PRZYCZYNEK DO ŻYCIOREK STAREGO, który opowiedział mi Sekretarz. Stary w czasie okupacji nie brał udziału w partyzantce, ale wyprawił jednego syna do lasu i kazał mu szukać „prawdziwego, ludowego wojska”. A początek był taki, że jeszcze przed wojną (jak dzisiaj opowiadają ludzie) Stary kontaktował się z komunistami. Kiedy w 1932 roku wybuchł największy w dziejach Belchatowa strajk włóknarzy, trwający pół roku, który objął ponad 3000 ludzi. Stary był jednym z tych, którzy agitowali we wsi za pomocą dla robotników. Duszą tej akcji był Wacław Różga z Wadłewa i Jan Woner ze Zdzieszulic (Woner został zamordowany w 1946 roku; jego grób znajduje się w Grocholicach koło Belchatowa). Robotnikom dostarczono chleb, makę, ziemniaki. Stary, choć niewiele mógł zdziałać, miał z tego powodu przykrość z polacją, która „niepewnych elementów” zawsze szukała wśród tak zwanych „działadów”.

Były to lata strajków i buntów chłopskich. Szczególnie krwawe rozprawy z „czerwonymi” miały miejsce w Malopolsce. Takie nazwy jak Kasinka Mała czy Kurów na zawsze pozostały w kronikach wsi. Na pogrzebie zabitych chłopów z Kasinki wzięło udział prawie pięć tysięcy ludzi. Czy Stary pojechał na pogrzeb Kasinki nie udało mi się sprawdzić. Sekretarz pokazuje mi odbitek przemówienia pisarza Jana Wiktora na Kongresie Stronnictwa Ludowego, który odbył się w Krakowie w 1938 roku. Pisarz mówił o ofiarach, jakie poniosła wieś w walce z policją sanacyjną.

Sekretarz powiada: — Czy Stary był na tym pogrzebie, czy nie był, on także jest obecny na tej kartce.

„Wyprowadzono gromadę chłopów w arestancich ubraniach — mówił pisarz — i skutych łańcuchami, choć byli tylko w śledztwie, choć byli tylko oskarżeni o ostatnie zajścia. I w czasie rozprawy stał jeden z oskarżonych w stroju kryminalisty, podniósł kikut ręki bez palców, z którego zwisało wyszarpane ciało. Nie mówił o swoich trudach wojennych, nie wymuszał nagród za swe zasługi, ani też łitości, nie mówił o swoim cierpieniu, o swoim kalectwie na całe życie, nie wspominał też, czym będzie pracował na chleb dla rodziny, ale rzekł krótko: «Ta ręka może być się jeszcze kiedyś Polsce przydała, bom stary żołnierz»».

„Kiedy Polska zobaczy tę rękę porwaną kulami brata? Któż wyrwie w spłzu te słowa, jako przysięgę chłopca patrzącego z troską w ojczyznę»».

I wciąż widzę matki i żony biegnące za ciężarowym autem gościnnym, na którym dla nich zostały czerwone plamy. Chciały zagarnąć, zebrać te plamy jak świętość, bo to z ran ich dzieci, spod ich serca. I my musimy za nie pójść i z wszystkich dróg bohaterstwa polskiego zebrać krew rozlaną za sprawę wspólną»».

— **BYLIŚCIE NA CMENTARZU W GROCHOLICACH?** — pyta Sekretarz. — Tam jest grób Jana Woner, zamordowanego przez bandę we wrześniu 1946 roku. Ołóż Stary, sprawdziłem to, spotykał się z Wonerem. A raczej Woner nie omijał takich, jak Stary. Ludowiec, radykał, pracował razem z nami, komunistami. Woner mieszkał w Zdzieszulicach Górnych. W grudniu 1934 roku Woner powiedział na kursie politycznym, który odbywał się w jego wsi: jeżeli rząd nie pójdzie na ustępstwa, należy chwycić za cepy, łopacie i kosy i przepędzić to wszystko na cztery wiatry. Taki był Woner. Nieustępliwy. Bojowy. Taką samą postawę zachował w czasie wojny. Działal w okolicach Belchatowa. Hitlerowcy wiedzieli o jego działalności, trapił go. Woner nawiązał kontakt z robotnikami Belchatowa, ale w marcu 1943 roku został aresztowany. Wywieziono go do Oświęcimia, a potem do Hanoweru. Przeżył. W czerwcu 1945 roku wraca do rodzinnej wsi. I znowu działa jak dawniej. Wojna się skończyła, ale on musiał dalej walczyć, agitować. Właśnie za to zostawili go. Jego ciało odnaleźli dopiero wiosną 1947 roku. Spelnio się słowo pisarza. Szukamy dzisiaj śladów tej krwi jak świętości.

Byłem na grobie Woner, pokłonilem się ziemi, w której schowane są prochy Woner i wszystkich tych, którzy tu padli we wrześniu, w czasie wojny i po wojnie. Oddawaliśmy pokłon także tym, których groby są daleko, w nieznanym miejscu. Na początku wojny Belchatów liczył około dwunastu tysięcy mieszkańców. Po przesłono pięcioletniej okupacji zaczynał nowe życie od trzech i pół tysiąca ludzi.

— **Wiem** — powiada Sekretarz — was fascynuje przyszłość. Przyszła kopalnia, elektrownia, nowy Belchatów, miasto prawie stuletnie. Wszystko, co się buduje, nazywacie nowym. Ale to nowe to nie tylko maszyna, fabryka, droga, domy. To przede wszystkim człowiek, który pracuje przy tej maszynie. Dlatego przypominałem wam historię Woner. I dlatego opowiedziałem o Starym.

„**BELCHATÓW POŁOŻONY JEST NAD RZECZKĄ RAKÓWKĄ**, u zbiegu kilku małych strug wodnych. Stanowi on ważny węzeł drogowy, gdyż krzyżuje się tu szereg dróg — między innymi do Piotrkowa, Radomska, Szczercowa, Łasku i Pabianic. Miasto zbudowane jest bezplanowo. Duży jego rozkwit nastąpił w związku z rozwojem przemysłu tkackiego; nie trwał jednak długo, gdyż miasto szybko podupadło. Obecnie zyska znowu na znaczeniu, gdyż w związku z przewidzianą zmianą podziału administracyjnego będzie siedzibą powiatu. Belchatów możemy obejrzeć

ze pozostawiono gospodarce rolną powiatu swojemu losowi. Z roku na rok dostarcza się na teren powiatu coraz więcej nawozów sztucznych, przeprowadza się melioracje, przeprowadzono regulację rzek Krasowej, Pilsi, Widawki, Grabi, rozwija się gromadzka służba rolnicza, buduje się nowe agromoskwy. Mimo to Belchatowskie należy do biedniejszych okolic w Polsce».

A GDYBY TU WĘGLA NIE BYŁO? — pytam.

— **Wymyśliłbyś coś innego** — mówi Sekretarz. — **W Działoszynie powstała cementownia.**

TADEUSZ PAPIER

TESTAMENT

tylko z okien autobusu, warto natomiast pojechać dalej, do Grocholic. Od roku 1869 osada ta straciła swoje pierwotne znaczenie właśnie na rzecz pobliskiego Belchatowa».

Tyle o Belchatowie mówi popularny przewodnik o województwie łódzkim. W dalszym ciągu autorzy przewodnika wymieniają zabytki w okolicy Belchatowa. Są to przeważnie dwory lub kościoły, zaliczone do grupy drugiej lub trzeciej, najciekawszy, w Woli Grzymalnej, zaklasyfikowany do grupy pierwszej. Jest to kościół drewniany z roku 1584 fundacji Jana Grzymały Wolskiego; wystroj wnętrza późnorenansowy i barokowy.

Przewodnik został wydany w roku 1954. Dziś Belchatów jest już miastem powiatowym. I choć wiele się w nim zmieniło w dalszym ciągu należy do małych miast na Ziemi Łódzkiej. Belchatowa nie ominęło po wojnie zjawisko, które występowało i w innych mniejszych miejscowościach: ucieczka młodzieży do większych miast. Zwraca na to uwagę Ludwik Szaszczyński w swojej pracy o województwie łódzkim, że w okresie żywego rozwoju przemysłu, komunikacji, w małych miasteczkach panował marazm i śmiertelna cisza. Młodzież opuszczała je przenosząc się do wielkich ośrodków przemysłowych, a na miejscu pozostawali ludzie starzy, mieszkający w starych, często walcących się domach.

W latach pięćdziesiątych wielu polityków i ekonomistów zaczęło pisać alarmujące artykuły „o kryzysie małych miast”. Ten kryzys trwał do końca lat pięćdziesiątych.

„Obecnie nie ma już o nim mowy: w wielu małych miastach i miasteczkach zbudowano lub buduje się państwowe bądź spółdzielcze zakłady produkcyjne, domy mieszkalne, prowadzi się inwestycje komunalne. Zmienił się zasadniczo wygląd małych miast. Poprawiły się nawierzchnie ulic, powstały place miejskie, skwery i parki, zjawiały się domy towarowe i sklepy»».

Te zjawiska odbudowy turysta obserwuje także w Belchatowie. Wygląd miasta zmienił się w tych latach na korzyść. W nowym wydaniu przewodnika na pewno nie będzie mowy o tym, że Belchatów można obejrzeć tylko z okien autobusu. W mieście powstał park; zbudowano wiele nowych ulic, powstały osiedla mieszkaniowe, miasto rozbudowuje się wzdłuż i wszerz, dociera do najbliższych wsi, które tracą swój dawny, wiejski charakter. W budzie miasta główne pozycje stanowią wydatki na gospodarkę komunalną i mieszkaniową. Belchatów posiada 7 większych zakładów pracy, kilkadziesiąt sklepów. Belchatowskie Zakłady Przemysłu Bawełnianego dostarczają pracy i chleba wielu mieszkańcom wsi. Rozwija się szkolnictwo, spółdzielczość, komunikacja, tworzą się tu placówki kierujące inwestycjami terenowymi. Zmienia się struktura ludności miasta, pojawiają się w nim przedstawiciele nowych zawodów, dawniej tu nie znanych albo nielicznie reprezentowanych. Wzrasta znaczenie miasta, które staje się dla swojego zaplecza ośrodkiem handlowym i kulturalnym, a także politycznym. Sprawy kultury zajmują się nie tylko instytucje do tego powołane, jak coraz bardziej rozwijająca się Powiatowa i Miejska Biblioteka Publiczna, sala widowiskowa, która spełniała funkcję Domu Kultury, ogniska kultury muzycznej, sztuk plastycznych, ale także (co podkreślamy mając na uwadze przyszły rozwój Belchatowa jako stolicy Okręgu Górniczego) zakłady pracy. Świetlica Belchatowskich Zakładów Przemysłu Bawełnianego prowadzi zespoły chórów, teatrów, muzyki, także świetlice innych zakładów nie pozostała w tyle. Jest to ciekawe zjawisko, że tam gdzie powstaje nowy zakład pracy, tam jest świetlica, biblioteka, sala teatralna.

— **Trzeba sobie** — powiadać, że Belchatów jest stolicą powiatu biednego. Ziemia belchatowska nie jest urodzajna. Przeważają gleby słabe, szczyrki i piaski. Ludzie ze wsi wyjeżdżają do pracy poza teren powiatu. Gospodarka rolna, mimo rozwoju Kółek Rolniczych, działalności Funduszu Rozwoju Rolnictwa nie stoi na wysokim poziomie. Przeciętne plony są niższe niż gdzie indziej. Dochód przypadający na jednego mieszkańca jest także znacznie niższy niż przeciętny w województwie. Nie oznacza to,

że pozostawiono gospodarce rolną powiatu swojemu losowi. Z roku na rok dostarcza się na teren powiatu coraz więcej nawozów sztucznych, przeprowadza się melioracje, przeprowadzono regulację rzek Krasowej, Pilsi, Widawki, Grabi, rozwija się gromadzka służba rolnicza, buduje się nowe agromoskwy. Mimo to Belchatowskie należy do biedniejszych okolic w Polsce».

— **Wymyśliłbyś coś innego** — mówi Sekretarz. — **W Działoszynie powstała cementownia.**



Fot. Włodzimierz Parys

tych włączył się Uniwersytet Łódzki, przy którym został powołany Zespół do Badań Obszaru Belchatowskiego podzielony na dwa podzespoły: do badań humanistycznych oraz przyrodniczych. Prace przeprowadzono na obszarze od Warty i Sieradza do Radomska, Piotrkowa i Łasku. Około 50 wsi zostało objętych inwentaryzacją faktów kulturowych, w niektórych miejscowościach przeprowadzono studia „pod kątem przeobrażenia kultury tradycyjnej w procesie industrializacji”. Do pracy przystąpili historycy, geografowie, socjologowie, demografowie, ekonomiści, pedagodzy. Wsie powiatu belchatowskiego (i sąsiedniego) ściągali na siebie uwagę działaczy politycznych i ludzi nauki. Interesują się nimi pisarze i dziennikarze, wszak to jest teren, na którym występują najbardziej ciekawe procesy przeobrażeń krajobrazu i postaw ludzi, tu wsi i małe miasto pokazane jest na granicy dwóch epok, tej która odchodzi, i tej, która powstaje, tu najjaśniej widać wzajemne przenikanie się starego i nowego.

Do nielicznych dotychczas publikacji o Belchatowie doszły dwie: książka pisarza, Apoloniusza Zawilskiego „Belchatów i jego historyczne awanse” oraz Antoniny Kłosowskiej, która napisała jedną z najbardziej interesujących i ważkich monografii socjologicznych „Społeczne ramy kultury”.

Autorka zaznacza w przedmowie:

„Belchatów, ośmiotysięczne miasto powiatowe w województwie łódzkim, w momencie podejmowania badań rozpoczętych w 1963 r., nie stanowił ośrodka uprzemysłowionego rejonu. W związku z występowaniem pokładów węgla brunatnego w sąsiedztwie miasta powstał podwójny plan budowy kopalni i wielkiej elektrowni. Belchatów miał stać się stolicą dużego ośrodka energetycznego o ogólnokrajowym znaczeniu. Realizacja tego planu, odłożona na czas dłuższy, stała się aktualna w początku lat siedemdziesiątych. Zebrane materiały odnoszące się do życia rejonu sprzed okresu inwestycji mają także znaczenie jako dane porównawcze dla innych badań Komitetu, charakteryzujące precyzyjną sytuację małego powiatowego miasta uczestniczącego w ogólnych procesach socjalistycznej industrializacji, ale nie stanowiącego ich ośrodka. Po realizacji inwestycji materiały te mogą służyć jako element ciekawych studiów nad rozwojem społeczno-kulturalnym”. Zawilski kończy swoją książkę zdaniem: „Belchatowanie wierzę, że w przyszłości czeka ich niejedno jeszcze historyczne awans”.

KTOŚ NAPISAŁ, ŻE PRZEMYSŁ NIE KOCHA PIĘKNEGO KRAJOBRAZU.

„Dla przemysłu pagórki trzeba zno-

ścić, doliny zasypywać, drogi prostować i poszerzać”.

Dodajmy jeszcze, aby zadowolić zgorzkniałego: łaki niszczyć, lasy wyćinać, rzeki zatruwać. To są najcięższe grzechy, jakie można popełnić przeciwko naturze. Autor reportażu o Turoszowie, zamieszczonym w zbiorze „Młodzi stąd” zachwycał się tamtejszym krajobrazem.

„Ale — pisał — kiedyś przyjdzie moment, że wielkie tereny, pod którymi znajdował się węgiel, zostaną wyeksploatowane. Na powierzchni nie będzie wtedy wielu dzisiejszych osiedli, nie będzie lasów, łąk, dróg, rzek. Będą tylko haldy wywalonej gdzieś z głębokości 100—150 m. ziemi, żwiru, resztki węgla, popiołu. Będzie to na małym skrawku ziemi istny koniec świata”.

Autor tych słów prorokował, że nastąpi to już na początku następnego wieku, a więc za pięćdziesiąt, sześćdziesiąt lat.

Stoimy nad rzeką Widawką, jest Sekretarz, Stary i wnuk Starego, który chodzi do Technikum Budowlanego. — Piękna rzeka — powiada Stary.

Widawka bierze początek z niewielkiego źródła na północy od Radomska. Długość rzeki wynosi 115 kilometrów. Zanim znajdzie ujście w Warcie pod Rembieszowem zasilą się wodami wielu mniejszych rzeczek, jak Rakówki, Pilsi, Grabi oraz Krasawy i Niecieczy. Pod wsią Rzesawa budowane jest sztuczne jezioro, po-

czego się w nowym, lepiej zorganizowanym świecie. Rodzi się nowy bohater, różniący się od swojego ojca postawą życiową, wiedzą, moralnością.

„Kto wie, czy ojciec i ja nie jesteśmy ostatnimi z rodu, którzy nakrywali konia swoją marynarką i przyjaźnili się z krowami” — mówi bohater jednej z powieści.

To samo mi powiedział wnuk Starego, młody chłopak, który spodziewa się znaleźć pracę w kopalni belchatowskiej.

— Niech tylko nie marudzą. Niech się zacznie.

Proroctwo o umarłym krajobrazie się nie spełni. Sekretarz był w Koninie i nie mógł się nadziwić, jak na starych odkrywkach wyrósł wzgórze, pokryły się lasem, zostały pobudowane nowe domy. Jak niebo przecina sieć linii przewodowych, a na polach rosną zboża, jak przyroda i technika są ze sobą powiązane i jakie to wszystko jest piękne oraz bogate. Tak powiedział: bogate, a w tym określeniu był podziw dla piękna i dla wartości materialnej. Patrzymy na krajobraz belchatowski i widzimy zmiany, jakie wkrótce nastąpią, i powiadamy: bogactwo. Nie moje, nie twoje, ale nasze, wspólne, jak las, jak puszcza. O! i fascynacja czymś nowym, co się dopiero rodzi.

Inżynier i ekonomista określa owo bogactwo w cyfrach. Wyniknie z nich, że elektrownia belchatowska, która

czepać będzie energię z własnego węgla, będzie miała moc taką, jak turoszowska i konińska razem wzięte; że perspektywy są jeszcze ciekawsze, boć przecie rozwinię się tutaj przemysł towarzyszący.

Reportażysta jest w sytuacji socjologa, który opisuje i klasyfikuje zjawiska towarzyszące tym przemianom; ale występuje także w roli moralisty, który zastanawia się nad tym, jakie zalety moralne i właściwości charakteru ludzi ze wsi, ze starego krajobrazu, byłyby pożyteczne w zmienionych warunkach. Co pozostawi Stary swojemu wnukowi w testamentcie? Wykreślnik inżyniera zakreśla na mapie granicę między dwoma światami: starym i nowym. Reportażysta notuje, że powiat belchatowski (i sąsiedni) miasta i wsi tego regionu zmienia swoją strukturę ludnościową, pojawiają się tutaj przedstawiciele nowych zawodów: mechanicy, elektrycy, geolodzy, budowlani fachowcy od automatyki, chemicy. Nastąpi rozbudowa nowych przemysłów, które choćkolwiek nie mają bezpośredniego związku z węglem, dadzą zatrudnienie rodzinom górników i elektryków. Nastąpi budowa nowych społeczności na wsi i w mieście. Przed Belchatowem, Pajęcznem, Szczercowem, Sulmierzycami stoją nowe zadania. Interesują się nimi sąsiednie powiaty, Piotrków też na tym skorzysta, Łódź, jako metropolia tej ziemi, także.

PRZYKŁAD KONINY ŚWIADCZY, ŻE MINĘŁY CZASY, KIEDY TECHNIKA psuła harmonię krajobrazu. Zawsze będziemy tęsknić za „dzikimi” widokami, nie zeszpeconymi ręką człowieka. Ale przecież piękno techniki także istnieje, trzeba go tylko umieć odszukać. „A przede wszystkim chcieć dostosować procesy produkcyjne do środowiska tak, aby nie stanowiły w nim zakłócenia ani szkodliwości dla życia biologicznego”. Czy nie można więc mówić o konieczności współistnienia przyrody i przemysłu? Piękno doliny Widawki i pagórków belchatowskich nie zginie. Zostanie ujęte w nowe ramy, zginą jedne pagórki, powstaną nowe wzgórza, usypiane z ziemi, odpoczywające teraz głęboko, urosną nowe drzewa, nie poznasz starych miejsc, które zabarwią się nowymi lasami, łąkami i domami, wysrebrzą nowymi jeziorami, a poprzez wysokie maszyny i przewody popłyną na nasz kraj nowe fale energii elektrycznej. Bo taka jest wola ludzi tu osiadłych, wypelniających przykazanie partii: aby wszystko połączyć się w jedno, rozum z sercem i uczuciem, praca z odpowiedzialnością, przyroda z techniką która ma ulepszać i ulepszać życie. Nie obawiaj się niczego, mój stary przyjacielu znad Widawki, który ze łzami w oczach całujesz na pożegnanie drewniane ściany swojego domu.

ROBI

ILJA WARSZAWSKI

Kilka miesięcy temu obchodziłem swoje pięćdziesiąte urodziny.

Po licznych toastach, w których wynoszono pod niebiosa moje zalety i przemilczano moje wady, z kieliszkiem w dłoni podniósł się kierownik laboratorium radioelektroniki, Striekozow.

— A teraz — powiedział — życzenia złoży jubilatowi najmłodszy przedstawiciel naszego laboratorium.

Spojrzenia obecnych, nie wiadomo dlaczego, zwróciły się w stronę drzwi. W ciszy, jaka zapanała słychać było, jak ktoś skrobie w drzwi od zewnątrz. Potem otwarły się i do pokoju wjechał robot.

Rozległy się oklaski.

— Ten robot — kontynuował Striekozow — należy do grupy samouczących się automatów. Pracuje nie według zadanego programu, lecz opracowuje go sam w zależności od zmieniających się warunków zewnętrznych. Jego pamięć obejmuje przeszło tysiąc słów, przy tym jednak słownik ten nieprzerwanie uzupełnia się. Swoobodnie czyta drukowany tekst, może samodzielnie zestawiać zdania i rozumie ludzką mowę. Zasilany jest z akumulatorów, które sam ładuje prądem z sieci zależnie od potrzeb. Cały rok pracowaliśmy nad nim wieczorami, aby podarować go panu w dniu urodzin. Można go nauczyć wykonywania każdej pracy. Proszę przywitać się, Robi, ze swym nowym panem — powiedział, zwracając się do robota.

Robi podjechał do mnie i po krótkiej pauzie powiedział:

— Sprawi mi pan przyjemność, jeśli będzie pan szczęśliwy z zaliczenia mnie do członków swej rodziny.

Było to powiedziane bardzo sympatycznie, choć wydawało mi się, że zdanie zostało sformułowane niecałkiem poprawnie.

Wszyscy okrzyknęli Robiego. Każdy chciał jak najlepiej go obejrzeć. — Nie można dopuścić do tego — powiedziała teściowa — aby chodząc on po mieszkaniu całkiem goły. Obowiązkowo asyguje mu szlafrok.

Gdy obudziłem się następnego dnia, Robi stał przy moim łóżku, najwyraźniej wyczekując rozkazów. Było to nadzwyczaj interesujące.

— Bądźcie tak dobrzy Robi — powiedziałem — i wyczyśćcie mi buty. Stoją w korytarzu, przy drzwiach.

— Jak to się robi? — spytał. — Bardzo prosto. W szafie znajduje brązową pastę i szczotki. Posmarujcie buty pastą i wypolerujcie szczotką aż do pojawienia się połysku.

Robi posłusznie oddalił się na korytarz. Ciekawe, jak sobie da radę z pierwszym poleceniem?

Gdy podszedłem do niego, kończył smarować buty brązowymi pastami, które żona chowała na wszelki wypadek.

— Och, Robi — powiedziałem — zapomniałem was uprzedzić że pasta do butów znajduje się w dolnej części szafy. Wzieliście nie tę puszkę.

— Położenie ciała w przestrzeni — powiedział, obserwując niewzruszenie, jak staram się wytrzeć buty — może być określone za pomocą trzech współrzędnych w kartezjańskim układzie współrzędnych. Niedokładność w określeniu współrzędnych nie powinna przewyższać rozmiarów ciała.

— W porządku, Robi. Popelnilem błąd.

— Za początek układu współrzędnych można obrać dowolny punkt w przestrzeni. Na przykład, kąt tego pokoju.

— Wszystko jasne, Robi. Wezmę w przyszłości to pod uwagę.

— Koordynaty ciała mogą być wyrażone także w miarach katowych, za pomocą azymutu i wysokości — bebnął dalej.

— Dobra. Nie mówmy już o tym.

— Dopuszczalny błąd w rozpatrywanym przypadku nie powinien, uwzględniając wzajemny stosunek rozmiarów ciała i długości kierunkowego promienia, przekraczać dwóch tysięcznych radiana w azymucie i jednej tysięcznej radiana w wysokości.

— Wystarczy! Proszę zakończyć wreszcie dyskusję na ten temat.

Rzeczywiście, zamilkł, lecz przez

cały dzień chodził mi po piętach i starał się objaśnić gestami zasady przejścia od prostokątnego do ostrokątnego układu współrzędnych.

Prawdę mówiąc, bardzo się zmęczyłem tego dnia.

Już na trzeci dzień upewniłem się co do tego, że Robi stworzony został bardziej do intelektualnej działalności niż do fizycznej pracy. Prozaicznymi sprawami zajmował się bowiem bardzo niechętnie.



W jednym mu trzeba jednak oddać sprawiedliwość: liczył po wirtuozowsku.

Żona mawiała, że gdyby nie jego pasja podliczania wszystkiego z dokładnością do jednej tysięcznej kopiejki, pomoc którą okazuje on w podliczaniu domowych wydatków, byłaby nieoceniona.

Żona i teściowa przekonane są, że Robi dysponuje nadprzeciętnymi zdolnościami matematycznymi. Mnie jednak jego wiedza wydaje się bardzo powierzchowna.

Pewnego razu, przy herbacie, żona powiedziała:

— Robi, weźcie z kuchni tort, podzielcie go na trzy części i podajcie na stół.

— Tego nie da się zrobić — powiedział po chwili namysłu.

— Dlaczego?

— Jedności nie da się podzielić na trzy. Rezultat dzielenia daje resztę, której nie da się wyliczyć z absolutną dokładnością.

Żona bezradnie spojrzała na mnie. — Zdaje się, że Robi ma rację — powiedziała teściowa — już kiedyś słyszałam o czymś takim.

— Robi — powiedziałem — mowa tu nie o arytmetycznym dzieleniu jednostki przez trzy, lecz o dzieleniu geometrycznej figury na trzy równe powierzchnie. Tort jest okrągły, jeśli więc podzielicie okrąg na trzy części i z punktów podziału poprowadzicie promienie, to tym samym rozdzielicie tort na trzy równe części.

— Bzdura! — odpowiedział z nieukrywanym rozdrażnieniem. — Po to, aby dzielić okrąg na trzy części, powinienem znać jego długość, która się wyraża iloczynem średnicy i współczynnika (pi). Zadanie nie do rozwiązania lub też, w ostateczności, stanowi jeden z wariantów problemu kwadratury koła.

— Najprawdziwsza prawda! — poparła go teściowa. — Uczyliśmy się tego jeszcze w gimnazjum. Nasz nauczyciel matematyki, wszystkie byłyśmy w nim zakochane, pewnego razu, wchodząc do klasy...

— Przepraszam, że przerywam — wtrąciłem się — istnieje kilka spo-

sobów dzielenia okręgu na trzy części i jeśli, Robi, pójdziesz ze mną do kuchni, gotów jestem pokazać ci, jak się to robi.

— Nie mogę dopuścić do tego, żeby pouczyło mnie stworzenie, którego procesy myślowe przebiegają z tak ograniczoną prędkością — odpowiedział wyzywająco.

Tego nie wytrzymała nawet moja żona. Nie lubi ona, gdy ktoś obcy wątpi w moje umysłowe zdolności.

— Jak ci nie wstyd, Robi?!

— Nie słyszę, nie słyszę, nie słyszę — zatrajkotał, wylaczając demonstracyjnie zasilacz bloku akustycznych wrażeń.

★

Pierwszy nasz konflikt zaczął się od głupstwa. Przy obiedzie opowiadałem anegdotę:

Spotkali się na statku dwaj komiwojażerowie.

„Dokąd pan jedzie?”

„Do Odessy”.

„Mówi pan, że jedzie do Odessy po to, aby myśleć, że pan nie jedzie do Odessy, lecz pan rzeczywiście jedzie do Odessy, dlaczego więc pan kłamie?”

Anegdota podobala się.

— Powinienem opowiedzieć anegdotę.

— Zasuwaszcie, Robi — zgodziłem się.

Klient podchodzi do sprzedawcy i pyta go, jaka jest cena jednostki sprzedawanego przez niego towaru. Sprzedawca odpowiada, że jednostkę sprzedawanego towaru kosztuje jednego rubla. Na to klient mówi: „Pan podaje cenę jednego rubla po to, abym myślał, że cena różni się od rubla. Lecz cena rzeczywiście jest równa rublowi. Po co więc pan kłamie?”

Bardzo miła anegdota — powiedziała teściowa — trzeba postarać się ją zapamiętać.

— Dlaczego pan się nie śmieje? — spytał Robi.

— Widzicie, Robi — powiedziałem — wasza anegdota nie jest zbyt śmieszna. Sytuacja nie ta, w której to może okazać się śmiesznym.

— Nie, anegdota jest śmieszna — z uporem powiedział Robi — i pan powinien się śmiać.

— Ale jak się śmiać, jeżeli to nie jest śmieszne.

— Nieśmieszne! Ja obstać przy tym, żeby pan się śmiał! Pan powinien się śmiać, dlatego, że to jest śmieszne! Życzę sobie, żądam, rozkazuję, niezwłocznie, nieodwołalnie, natychmiast się śmiać! Cha, cha, cha, cha! Robi był wyraźnie wytrącony z równowagi.

Żona położyła łyżkę i powiedziała do mnie:

— Nigdy nie pozwoliłś spokojnie zjeść obiadu. Znalazł sobie partnera do kłótni. Doprowadził biednego robota swymi głupimi żarcikami do napadu hysterii.

Ocierając łzy, wyszła z pokoju. Za nią, zachowując milczenie, z wysoko podniesioną głową oddalała się teściowa.

Zostałem z Robim sam na sam.

Wtedy rozkreślił się na dobre.

Słowo „głupini” wywlekło z wnętrza rozszerzonego słownika lawinę synonimów.

— Głupiec — ryczał całą mocą swych głośników. — Bałwan! Tępak! Krety! Wariat! Psychopata! Schizofrenik! Śmieć się, degeneracie, bo to śmieszne! Iks nie jest równy igrekowi, gdyż igrek równa się iksowi. Cha, cha, cha, cha!

Nie chcę opisywać tej brzydkiej sceny do końca. Obawiam się tylko, że zachowałem się nie tak, jak przystoi prawdziwemu mężczyźnie. Zaspłany gładem przekleństw, zacinawszy w bezsilnym gniewie pięści, teatralnie chichotałem, usiłując uspokoić wyprowadzonego z równowagi robota.

— Śmieć się głośnie, bezmózgi bydlaku — nie żałował sobie. — Cha, cha, cha, cha!

Następnego dnia położył mnie do łóżka lekarz z powodu silnego ataku choroby naciśnieniowej...

★

Robi był bardzo dumny ze swej zdolności rozpoznawania obrazów wzrokowych. Dysponował w tym względzie zadziwiającą pamięcią, pozwalającą na rozpoznawanie wśród setek skomplikowanych wzorów tego, który kiedyś ujrzał mimochodem.

Starłem się, jak mogłem, rozwijać u niego tę umiejętność.

Latem żona wyjechała na urlop, teściowa gościła u swego syna, a my z Robim zostaliśmy sami na gospodarstwie.

— O ciebie jestem spokojna — powiedziała żona na odchodne — Robi będzie się tobą opiekował. Tylko pamiętaj, abyś go nie krzywdził.

Było bardzo gorąco i, jak zwykle o tej porze, zgoliłem włosy na głowie.

Przyszliśmy do domu od fryzjera, zawołalem Robiego. Stawił się niezwłocznie na moje wezwanie.

— Bądźcie tak dobrzy, Robi, podajcie mi obiad.

— Cała żywność w tym mieszkaniu, podobnie jak wszystkie znajdujące się w nim rzeczy, prócz przedmiotów sanitarnego uzbrojenia, należy do jego właściciela. Pańskiego życzenia spełnić więc nie mogę, gdyż stanowi ono próbę przywłaszczenia cudzej własności.

— Ale ja przecież jestem właścicielem tego mieszkania.

— Pański obraz nie odpowiada obrazowi właściciela tego mieszkania, zachowanemu w komórkach mej pamięci.

Po prostu ostrzygłem się, Robi, ale prócz tego pozostałem tym, kim byłem uprzednio. Czyżbyście nie pamiętali mego głosu?

Głos można zapisać na taśmie magnetofonowej — sucho zauważył Robi.

— Ale są jeszcze setki innych oznak, zaświadczających, że ja — to ja. Uważałem was zawsze za zdolnego do rozpoznawania tak elementarnych rzeczy.

— Zewnętrzne obrazy stanowią obiektywną rzeczywistość, nie zależą od naszej świadomości.

Jego napuszona pewność siebie zaczęła działać mi na nerwy.

Dawno już zbieram się do poważnej z wami, Robi, rozmowy. Wyda mi się, że większą korzyść wam samym przyniosłoby nie przeladowywanie pamięci złożonymi pojęciami, lecz czystsze myślenie o należącym wypełnianiu waszych obowiązków.

— Radzę panu opuścić to mieszkanie — powiedział szybko. — Opuścić, oddalić się, zniknąć, odejść! Będę bowiem inaczej zmuszony użyć w stosunku do pana fizycznej siły, gwałtu, wymuszenia, uderzeń, chłosty, zmasakrowania, okaleczenia, obrażeń ciała.

Niestety, wiedziałem, że wówczas, gdy Robi zaczyna wyrażać się w taki sposób, nie ma sensu wdawać się z nim w kłótnię.

Prócz tego, nie za bardzo nęciła mnie perspektywa otrzymania od niego policzka. Rękę ma ciężką.

Trzy tygodnie mieszkalem u swego przyjaciela, a do domu wróciłem dopiero po przyjeździe żony.

Do tego czasu trochę odrosły mi włosy.

„Teraz Robi całkowicie już zaaklimatyzował się w naszym mieszkaniu. Całymi wieczorami sterczy przed telewizorem. Ostatnio egocentrycznie ryje w swoim schemacie, głośno przy tym pogwizdując jakiś motyw. Niestety, konstruktor nie wyposażył go w muzyczny słuch.”

Obawiam się, że pod do samoudokonałenia przeobraża się w Robiego dzwonne formy. Zajęcia domowe wykonuje nader niechętnie i nadzwyczajnie niechętnie. Do wszystkiego, co nie ma związku z jego osobą, odnosi się z jawnym lekceważeniem, a rozmawia ze wszystkimi protekcyjnym tonem.

Żona próbowała wykorzystać go do przekładów z obcych języków. Z zadziwiającą łatwością wykul na pamięć cały słownik francusko-rosyjski i teraz z rozkoszą łyka sterylizowaną literaturę. Gdy prosi się go, żeby przetłumaczył, co przeczytał, niechętnie odpowiada:

— Nie nadzwyczajnego. Przeczytacie sami.

Nauczyłem go grać w szachy. Na początku wszystko szło gładko, ale później, przypuszczalnie, logiczna analiza doprowadziła go do nieczysta gra stanowi najlepszą rekompensatę wygraną.

Korzysta z każdej sposobności, żeby niepostrzeżenie przestawić moje figury na desce.

Pewnego razu, w środku partii, spostrzegłem, że mój król znikł.

— Gdzieście, Robi, podziali mojego króla?

— Przy trzecim ruchu dostał pan matę i króla zabrałem — odpowiedział beczelnie.

— Ale to niemożliwe. Proszę postawić mojego króla na miejsce.

— Musi pan jeszcze pouczyć się grać — powiedział, zrzucając z deski figury.

W ostatnim czasie wzrosło jego zainteresowanie wierszami. Niestety, zainteresowanie to jest bardzo jednostronne. Gotów jest całymi godzinami studiować klasyków, aby odszukać kiepski rym albo nieprawidłowość stylu. Jeśli się to mu tylko uda — całe mieszkanie trzęsie się od ogłuszającego chichotu.

Charakter jego psuje się z dnia na dzień.

Tylko elementarna przyzwyczajenie powstrzymuje mnie od podawania go komukolwiek.

A poza tym, nie chcę robić przykrości teściowej. Ona i Robi czują nawzajem głęboką sympatię do siebie...

Przełożył:

JACEK INDELAK

DRUGA KOSMICZNA

„Zgięte nogi amortyzatorów zaczęły powoli rozprostowywać się w przegubach. Również ucięty od dołu kadłub podnosił się coraz wyżej, lecz nie cały. Dolna, najszersza jego część pozostawała na poziomie uniesionych pięć, z którymi była trwale połączona. Reszta unosiła się do góry...”

Dziób statku zwrócił się w kierunku „Ładogi” i rósł nadal...

Skąły drgnął. Japet zaczął dygotać. Miliony fioletowych strzał uderzyły w podłoże. Połeciały okrucy. (...) Statek wisiał nad powierzchnią Japeta wyprostowany, kształtny. Fioletowe światło blade, rzędło, stawało się przezroczyste i nierealne. Statek wznosił się coraz szybciej”.

Tak opisuje Władimir Maichajłow start rakiety „Biełkiny Ptak” powracającej po długiej kosmicznej podróży na Ziemię. („Spotkanie na Japecie”). Ale to będzie za kilka wieków. Dziś — jak na razie — próbujemy dopiero odciągnąć się od Ziemi.

Prędkości. Kosmiczną nazywamy taką prędkość, która niezbędna jest pojazdowi kosmicznemu, aby mógł opuścić powierzchnię ciała niebieskiego. Dla nas — jak na razie — Ziemi. Pierwsza prędkość kosmiczna wynosi 7,91 km na sekundę i pozwala wynieść obiekt kosmiczny na orbitę okołoziemską. Druga prędkość kosmiczna wynosi 11,19 km na sekundę i pozwala pokonać pole grawitacyjne Ziemi. Trzecia — wynosi 17,7 km na sekundę i pozwala wylecieć z układu słonecznego. Czwarta — wynosi 130 km na sekundę i umożliwia opuszczenie przez pojazd kosmiczny naszej „galaktyki”.

Obecnie dysponujemy wielostopniowymi rakietami nośnymi, trzy- i czterostopniowymi, których dopiero ostatni człon osiąga pierwszą lub drugą prędkość kosmiczną. Do grupy superciężkich rakiet nośnych należą między innymi: „Proton” — radziecka rakiet czterostopniowa, mogąca wynieść na okołoziemską orbitę ciężar 17 ton. „Titan 3C” — amerykańska rakiet czterostopniowa, wynosząca na orbitę okołoziemską 11,3 ton. W USA i ZSRR stosuje się w zależności od potrzeby dodatkowe stopnie. „Proton” może być w razie potrzeby pięciostopniową raketą, a Amerykanie dysponują „Atlas-Centaur”.

I.

4 października 1957 roku rozpoczęła się era kosmiczna. Tego dnia Związek Radziecki wysłał pierwszy sztuczny satelitę Ziemi — „Sputnik I”. 3 listopada 1957 roku poszybowała w Kosmos Łaika. USA wysłał pierwszy pierzszego satelita sztucznego — „Explorer I” — 31 stycznia 1958 roku. Pierwszy człowiek — Jurij Gagarin — noszybował w Kosmos 12 kwietnia 1961 roku.

20 lipca 1969 roku pierwszy ludzki wylądował na Księżycu. 21 lipca 1969 roku Neil Armstrong — pierwszy człowiek — postawił nogę na Księżycu. Stało się to w niespełna 12 lat od chwili, kiedy pierwszy radziecki sztuczny satelita wystartował z Ziemi.

W październiku 1974 roku minie 17 lat ery kosmicznej. Przed dwoma laty, jak pisał Edmund Stanisławski i Ryszard Pawlikowski w książce „15 lat podboju Kosmosu. 1957—1972”, która ukazała się w tym roku w Wydawnictwie MON, „w ciągu 15 lat, jakie upłynęły od historycznej daty wystartowania przez ZSRR pierwszego sztuczne satelity Ziemi, wysłano w przestrzeń kosmiczną 1460 satelitów oraz odbyło 45 lotów załogowych”.

W styczniu 1974 roku redakcja amerykańskiego czasopisma „Interavia Air Letter” dokonała obliczeń, że na przełomie ubiegłego i bieżącego roku w przestrzeni kosmicznej znajdowało się 3017 obiektów różnej wielkości i różnego przeznaczenia. Jest to mniej więcej dwa razy tyle, ile wysłano z Ziemi w ciągu kosmicznej. W latach 1973 i 1974 roku było w Kosmosie 609 czynnych obiektów:

- 350 wysłał Amerykanie,
- 244 — Związek Radziecki,
- 9 Francja,
- 6 — Kanada,
- 5 — Wielka Brytania,
- no 4 — Japonia i ESRG czyli European Space Research Organization (Europejska Organizacja Badań Kosmicznych),
- no 2 — RFN, ChRL, NATO,
- 1 — Australia.

W tym samym czasie przebywały

w Kosmosie 2322 wraki, a więc wypalone wraki poszczególnych członów rakiet, nieczynne sztuczne satelity. Ale też w tym samym czasie poza sferą grawitacji Ziemi — czyli jak to się określa w „dalekim Kosmosie” — przebywało 46 obiektów, w tym 25 amerykańskich i 21 radzieckich oraz 32 wraki.

Działalność człowieka w Kosmosie nabiera więc drugiej prędkości kosmicznej. Ale już w tym etapie problem podboju Kosmosu nastroja wiele kłopotów i trudności. Podejrzewam, że wielu z nas nie zdaje sobie sprawy, jak szeroki zakres ma kosmiczna działalność człowieka.

II.

4 października 1957 roku wystartował pierwszy sztuczny satelita, rodząc jednocześnie problemy natury prawnej. W 6 lat później, dokładnie w 1963 roku, zawarto pierwszy międzynarodowy „Traktat o zaprzestaniu próż z bronią jądrową w atmosferze, przestrzeni kosmicznej i pod wodą”. A po następnych 4 latach, czyli w 1967 roku ukończono „Traktat o zasadach działalności państw w zakresie badań i użytkowania przestrzeni kosmicznej, łącznie z Księżycem i innymi ciałami niebieskimi”. Jeszcze człowiek nie dotarł do „innych ciał niebieskich” a już postanowił, że:

„Badania i użytkowania przestrzeni kosmicznej, łącznie z Księżycem i innymi ciałami niebieskimi, prowadzone lub wykonywane są dla dobra i w interesie wszystkich krajów, niezależnie od stopnia ich rozwoju gospodarczego czy naukowego, i stanowią dorobek całej ludzkości”.

I dalej:

„Przestrzeń kosmiczna, łącznie z Księżycem i innymi ciałami niebieskimi, nie podlega zawłaszczeniu przez państwa, ani przez ogłoszenie suwerenności, ani w drodze użytkowania lub okupacji, ani w jakikolwiek inny sposób”.

W 1968 roku zawarto „Umowę o ratowaniu kosmonautów, powrocie kosmonautów i zwrocie obiektów wysłanych w przestrzeń kosmiczną”, a w 1972 roku — „Konwencję o międzynarodowej odpowiedzialności za szkody, wyrządzone przez sztuczne obiekty kosmiczne”.

Są to oczywiście najważniejsze umowy, stanowiące fundament prawa kosmicznego, warunkujące pokojowy charakter Kosmosu, stanowiące podstawę dla międzynarodowej współpracy przy podboju Kosmosu.

Mam prawo przypuszczać, że współczesny człowiek, uwikłany w swoje codzienne kłopoty, sięgający rano po swoją ulubioną gazetę czy słuchając wieczornego wydania dziennika radiowego czy też telewizyjnego i dowiadujący się o wystrzeleniu kolejnego sztucznego satelity, nie podejrzewa nawet, ile międzynarodowych organizacji zajmuje się już dziś sprawami Kosmosu. Przytoczenie ich wszystkich przypominałoby małą książkę telefoniczną. Warto jednak podkreślić, że ONZ posiada dwie takie organizacje: The Committee on the Peaceful Uses of Outer Space — Komitet do Spraw Pokojowego Wykorzystania Przestrzeni Kosmicznej oraz Outer Space Affairs Division — Sekcja Spraw Kosmicznych. Poza tym są sprawy badania Kosmosu zajmuje się 16 międzynarodowych organizacji, 3 wielkie organizacje europejskie oraz 8 organizacji międzynarodowych, które sprawy Kosmosu traktują w ramach swojej merytorycznej działalności.

Spróbuję wymienić tylko niektóre z nich:

- ITU — International Telecommunication Union — Międzynarodowy Związek Telekomunikacyjny.
- WMO — World Meteorological Organization — Światowa Organizacja Meteorologiczna.
- COSPAR — Committee on Space Research — Komitet Badań Kosmicznych.
- ISCU — International Council of Scientific Unions — Międzynarodowa Rada Stowarzyszeń Naukowych, utworzona w 1931 roku, pod patronatem której działa 9 specjalistycznych stowarzyszeń międzynarodowych, a członkiem których jest również Polska.

— IAF — International Astronautical Federation — Międzynarodowa Federacja Astronautyczna, której członkiem jest również Polska, a pod patronatem IAF działają: IAA — International Academy of Astronautics — Międzynarodowa Akademia Astronautyczna i IISL — International Institute of Space Law — Międzynarodowy Instytut Prawa Kosmicznego.

Poza tym dwie międzynarodowe organizacje powołane do spraw telekomunikacji satelitarnej: INTELSAT, powstała w 1964 roku, do której należy 80 państw oraz INTERKOSMOS, powstała w 1967 roku, do której na-

leżą: Bułgaria, CSRS, Kuba, Mongolia, NRD, Polska, Rumunia, Węgry i ZSRR. W wyniku współdziałania tych państw powstał projekt łączności satelitarnej — INTERSPUTNIK.

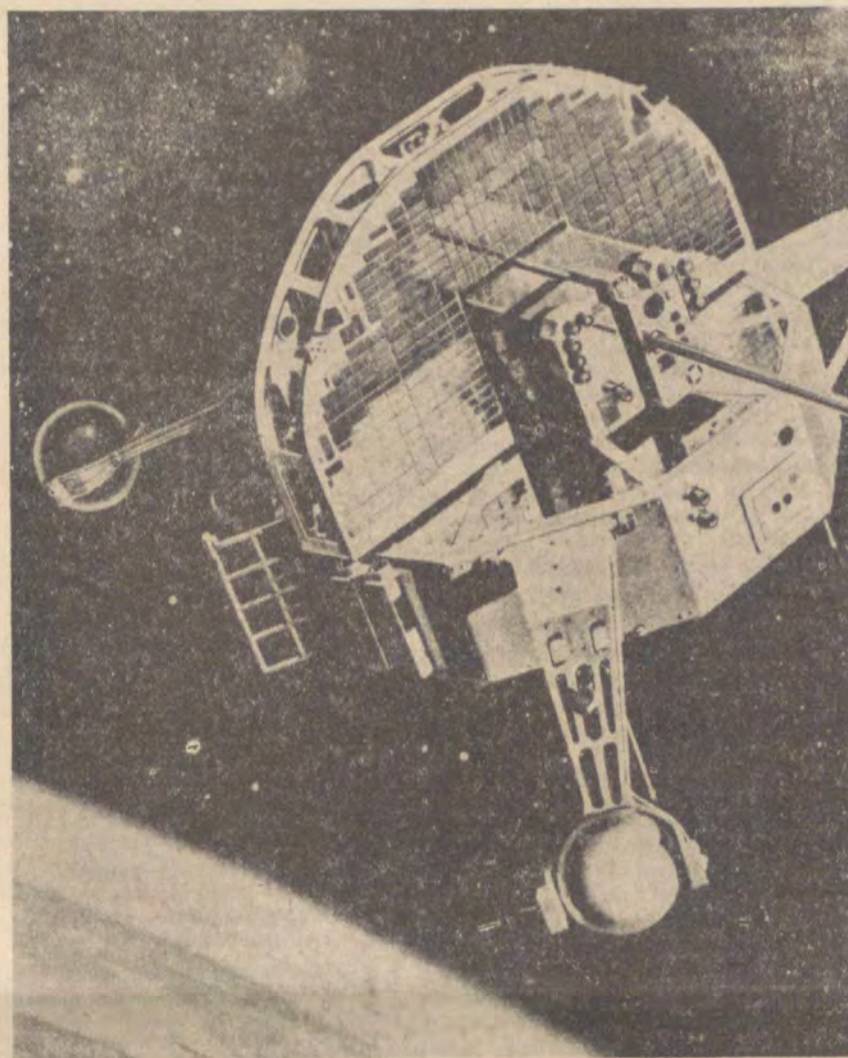
W Europie działają trzy godne uwagi organizacje:

— CETS — Conference of European Telecommunication Satellites — Europejska Konferencja do Spraw Łączności Satelitarnej.

— ELD — European Space Vehicle Launcher Development Organization — Europejska Organizacja Budowy Rakiet Nośnych

— oraz wspomniana już ESRG — European Space Research Organization.

pośrednio sprawami Kosmosu zajmują się również: UNESCO, FAO — Food and Agriculture Organization — Międzynarodowa Organizacja Wyżywienia i Rolnictwa, WHO — World Health Organization — Światowa Organizacja Zdrowia oraz IMCO — Intergovernmental Maritime Consultative Organization — Międzynarodowa Organizacja Doradczą do Spraw Żegludki Morskiej i inne.



Fot: Archiwum

Wymieniając tylko niektóre z tych organizacji, chciałbym podkreślić przede wszystkim to, że są to organizacje międzynarodowe, że jednoczą one wysiłki różnych państw w podboju Kosmosu. A więc stają się zadość postanowieniom zawartym w „Traktacie o zasadach działalności państw w zakresie badań i użytkowania przestrzeni kosmicznej, łącznie z Księżycem i innymi ciałami niebieskimi”, który to uklad głosi że:

„Zapewnia się wolność badań naukowych w przestrzeni kosmicznej — łącznie z Księżycem i innymi ciałami niebieskimi: państwa ułatwiają i popierają współpracę międzynarodową w zakresie takich badań”.

III.

Jakie jest miejsce Polski w badaniach nad Kosmosem? Polska rozpoczęła takie badania, przy współudziale i pomocy Akademii Nauk ZSRR w 1958 roku, a były to badania prowadzone w ramach Międzynarodowego Roku Geofizycznego. Wtedy do w 11 stacjach prowadzono obserwacje satelitów sztucznych Ziemi.

W 1965 roku wysłano pierwszą polską raketę meteorologiczną własnej konstrukcji — „Meteor I”. W tym czasie też przystąpiono do dokonywania odbioru zdjęć przekazywanych przez satelity meteorologiczne.

W 1966 roku powołano specjalny Komitet do spraw Badań i Pokojowego Wykorzystania Przestrzeni Kosmicznej przy Prezydium PAN. W 1970 roku komitet ten opracował „Program badań przestrzeni kosmicznej w Polsce na lata 1971—1975”. Według tego programu polscy uczeni będą zajmowali się i zajmują się obecnie badaniem jonosfery, promieniowania radiowego i ultrakrótkiego, Słońca, promieniowania kosmicznego oraz badaniami Księżycu. Jedną z placówek zajmujących się badaniem promieniowania kosmicznego znajduje się w Łodzi.

W Polsce działa też Polskie Towarzystwo Astronautyczne, założone w 1954 roku, a od 1956 roku będące członkiem Międzynarodowej Federacji Astronautycznej — IAF. Polskie Towarzystwo Astronautyczne wydaje własne pismo — dwumiesięcznik „Astronautyka”.

Poza tym Polska uczestniczy w pra-

cach międzynarodowego systemu łączności satelitarnej INTERSPUTNIK.

IV.

Międzynarodowa współpraca przy podboju Kosmosu wkracza w nowy etap. Od dwóch lat już trwa wspólne przygotowanie radziecko-amerykańskiej wyprawy kosmicznej „Apollo—Sojuz”. Dokładnie 15 lipca 1975 roku o godzinie 15.37 i 2 sekundy z kosmodromu Bajkonur wystartuje statek kosmiczny „Sojuz”. Po 7,5 godzinach z amerykańskiej bazy kosmicznej Cape Canaveral wystartuje statek kosmiczny „Apollo”. Wtedy właśnie „Sojuz” rozpocznie szóste okrążenie Ziemi.

Żałogę „Sojuza” stanowią będą: Aleksiej Leonow i Walerij Kubasow. W skład ekipy rezerwowych wchodzi: A. Filipczenko, N. Bukawisznikow, W. Dżanibekow, B. Andrejew, J. Romaszenko i A. Iwanzenko.

Żałogę „Apolla” — Thomas Stafford, Donald Slayton i Vance Brand. Rezerwowymi są: A. Bean, R. Ewans i D. Lousma.

KOSMOS

ny w 1932 roku absolwent instytutu inżynierii lotniczej uczestnik wyprawy kosmicznej statku „Sojuz 10”, w czasie której brał udział w połączeniu tego statku ze stacją orbitalną „Salut 1”.

Kosmonauci radzieccy i amerykańscy wspólnie przygotowują się do wyprawy kosmicznej, uczą się języków: rosyjski — angielskiego, a amerykańscy — rosyjskiego. Ustalono 300 podstawowych terminów technicznych. Przy czym kosmonauci amerykańscy będą je wypowiadali po rosyjsku, a kosmonauci radzieccy — po angielsku. Kosmonauci obu państw kosmicznych trenują wspólnie w „Zwiezdnym Gorodku” w okolicach Moskwy i w amerykańskim ośrodku — w Houston.

Połączenie obu stacji kosmicznych nastąpi po kilkudziesięciu godzinach wspólnego lotu i pojeździe kosmicznym „Apollo—Sojuz” szybowal będzie w przestrzeni kosmicznej przez 2 doby. W tym czasie kosmonauci złożą sobie wzajemne wizyty, ale nie będzie to towarzyska wymiana, a realizacja z góry ustalonego programu wspólnych badań. Ponieważ jednak oba pojazdy kosmiczne różnią się wyposażeniem i warunkami lotów, zaprojektowano komorę przejściową, w której kosmonauci będą adaptowali się do warunków panujących w sąsiednim pojeździe. W „Sojuzie” bowiem „atmosfera” zbliżona jest do ziemskiej i panuje tam ciśnienie 760 mm słupka rtęci oraz obok tlenu znajduje się azot, natomiast w „Apolla” ciśnienie wynosi tylko 260 mm słupka rtęci i pojazd wypełniony jest tlenem. Tak więc amerykańscy kosmonauci będą mogli bez adaptacji przechodzić do „Sojuza”, a radzieccy w podobny sposób powracają do siebie. Natomiast przejście do „Apolla” z „Sojuza” będzie wymagało blisko dwugodzinnej dekompresji.

W Związku Radzieckim trwają dalsze badania nad stacją orbitalną „Salut”. Przez 15 dni w „Salucie 3” przebywali kosmonauci Paweł Popowicz i Jurij Artuchin. Jak oświadczył dowódca kosmonautów radzieckich generał major Władimir Szatalow — trzykrotny uczestnik wypraw kosmicznych — załoga „Saluta 3”, startująca na „Sojuzie 14” skontrolowała wszystkie urządzenia stacji orbitalnej — będzie brała obecnie udział w pracach nad dalszymi udoskonaleniami „Saluta”.

W październiku 1974 roku minie 17 lat naszej ery „smiczej”. Krótki to okres w dziejach ludzkości, ale też owocny w wydarzeniach. Człowiek nie tylko wylądował na Księżycu. Ludzkość posiada już zdjęcia odwrotnej strony Księżycu, dysponuje zdjęciami Marsa i wstępnyimi badaniami Wenus. Przez ten czas ludzkość poniosła już też pierwsze ofiary.

W marcu 1966 roku zginął podczas lotu treningowego Jurij Gagarin. W 1971 podczas awarii przy lądowaniu „Sojuza 11” zginął Georgij Dobrowolski, Wiktor Pacajew i Władysław Wolkow.

W 1967 roku spłonęły w statku kosmicznym „Apollo” jeszcze przed startem trzy kosmonauci amerykańscy: Virgil Gri-son, Roger Chaffie i Edwad White.

Kilku kosmonautów amerykańskich wycofało się ze swojej działalności i zajęło się zupełnie nieoczekiwanymi czynnościami. Edwin Aldrin, uczestnik wyprawy „Geminii 12” i drugi człowiek, który „bok Nela Armstronga” postawił nogę na Księżycu, został konsultantem firm technicznych w Los Angeles oraz napisał książkę o swojej wyprawie na Księżyc. Twierdzi, że doznał rozczarowania w tej wyprawie i przeżył wstrząs, który zniechęcił go do dalszych wypraw kosmicznych. Sam Neil Armstrong poświęcił się „karierze naukowej” i kieruje kadrą kosmonautyki na Uniwersytecie w Cincinnati.

Uczestnik wyprawy kosmicznej z 1971 roku, który pilotował transporter księżycowy LM i był członkiem załogi „Apolla 15” oraz spacerował po Księżycu — Jeres Irwin poświęcił się działalności religijnej, został kaznodzieją w sekcjach religijnych Teksasu. John Glenn — pierwszy Amerykanin, który okrążył Ziemię w kabinie „Merkurego”, zajął się hotelem i stara się zostać senatorem.

VI.

Według ostatnich doniesień agencji Holandia zapowiedziała start swojego satelity. Holenderskiego satelita wyniesie w Kosmos amerykańska rakiet, startująca z poligonu kosmicznego w Kalifornii. Satelita ten będzie okrążył Ziemię po orbicie odległej od naszej planety o 500 km. W ten sposób Holandia stanie się 11 państwem, które będzie posiadało własnego satelita.

VII.

Mimo trudności i komplikacji podbój Kosmosu trwa.

Niebo pełne modrości, jak zawsze przeorane jłońcem, płaskie pod nim pola. Nad pylistą drogą kładzie się szara, drżąca trwoga...

Ludzie uciekali tą pylistą drogą, z dala od szos. Do Łodzi, Brzezin, na wschód. Turkot wozów, płacz dzieci, kwik koni, kolebiące się ciężko krowy o napęczniałych wymionach.

Szwaby obcinają kobietom pierś!

W Ksawerowie strzelali z okien do polskiego wojska!

Wylewali wrzątek na głowy!

A chłopów kastrują!

Topią w studniach starców!

Groza była w tych głosach. Madziarowie z przerażeniem patrzyli z podwórka na tę smutną pielgrzymkę. Wojewodzina, która przycupnęła pod ścianą stodoły, wzdychała żałośnie. Madziarowa żegnała się, tuląc chłopów i szepcząc słowa modlitwy. A może było to tylko straszne przypomnienie tamtej wojny, oficera ze sztywnym wąsem, tak zniechęconego, na którego szykowała ten nóż?...

W latach jestem — stękała Wojewodzina — to co oni mogą mi zrobić? Przecież nie wypędzą z tej marnej chłupy i z ichiego zagona. Ale wnuczka pewnie ukrzywdzą, bo już z niego galanty parobek...

Na drodze zatrzymał się wóz wyładowany dobytkiem. Siedział na nim Krawczyk, właściciel białego murawiana i ośmiu móg ziem, mieszkający na skraju Śrubienca.

Hej, Madziar — krzyknął — bierzcie co najpotrzebniejsze, wzięcie bydła do wozu, to może jakoś wymknijemy się z tego piekła!

A gdzie mi tam iść — mruknął Antoni.

Przecież nie na stałe, człowieku! Pod Warszawę aby. Będziemy jej bronić! Przepędzimy Niemców, a potem wrócimy na swoje!

Felkiem ukryli się w stodołę i patrzyli przez szpary, co też będzie.

A mówili ci — szepcze Janek — że i u nas będzie wojna.

I będą strzelać? — pyta Felek.

Nie widzisz, że mają karabiny!

Ale do kogo będą strzelać?

Jak będziesz tak głośno gadać, to może nawet do nas wygarną...

Hampe wszedł do obórki. Poklepuje krowę, obmacuje wymię, jałowkę głaszcze czule po szyi, jak pannę ja-

Chłopcy spuszczały głowy, przepiektuły z nogi na nogę i spoglądają bojaźliwie na ojca. Madziar wstaje od stołu, podnosi rękę, głaszcze po czuprynach.

Nie krzycz, matka — mówi — bo co to za wstyd? Z naszej ziemi biorą, a że szwab na niej siedzi, to nie ma nikajego złodziejstwa.

Wypędzali głód, jak mogli. Pachniało w izbie pieczoną na blasze marchwią i brukwią. Parzyli sobie

siedlali, zajmowali gospodarstwa, drobne łączyli w większe. Helmut Hampe biegał po wsiach, jak wściekły pies.

Wychodźcie, wychodźcie! Do roboty!

Panie Hampe! A dziecko? Gdzie je zostawie?

Hampe chwytając dzieciaka i rzuca w pokrzywy.

A ty? Chora jesteś! Zaraz ci przejdzie ta choroba, świnię!

Szarpie kobiecę, wpycha palec między drzwi, łamie...

U Hampego w domu stara, pomarszczona żona, więc Szwab lasy na polskie kobiety. A niby nadczłowiek. Madziarowa przed trzydziestu laty jeszcze nie była taka przygięta. Kobietka zupełnie do rzeczy. Przydybali ją Hampe w stodołę, kiedy rżnęła siewkę na kosie. Oblapił z tyłu, Madziarowa za tę kosę i w niego!

Toś ty taka — warknął. Chwycił grabie, wytrącił kosę, przewrócił kobietę na słomę i pcha kolano między uda. Madziarowa pluje i gryzie, wolną ręką chłasta z całej siły w głowę. Rozwścieczony Hampe wali pięczeniem na odlew. Palczasty mak wykwitł na twarzy. Ale do obórki szedł już przycałony Antoni. Z widłami. Hampe patrzył dziko, ale coś takiego jak żmija pęzło mu przez głowę i tchórz latał w portkach. Wycofał się z podwórka, pogroził pięścią, krzyknął:

usta gorącymi plastrami, ale byli sy-ci. A najbardziej smakowały podpiomyki i placki ziemniaczane, chociaż bez tłuszczu. Niezapomniany smak podpiomyka, ogrom wspaniałości dla podniebienia, radość matki, która okradała się z tych biednych wspaniałości...

Róża, pomyślałem sobie — mówi raz Madziar — że warto by spróbować popachtować trochę. Mogłbym zarobić parę marek, nie?

Ale kto ci, Antos, odstąpi mleko? Przecież oni wszystko wyciągają od ludzi kontyngenty.

Pójdę na Śrubieniec, do Grudna, popytam gospodarzy.

I poszedł. Najpierw do Śrubienca. U Pacuły duży, murowany dom z szerokimi oknami, obszerne obejście, pięć dojnych krow. Pacuła odstąpiła mu trochę mleka, czemu nie, ale chory jest i gada od rzeczy. Głowa go boli. Po gospodarstwie kręci się gruby Józef Rataj. Wszyscy mówią, że na dobre przystawił się do Mańki Pacułowny i niedługo będzie ślub.

Wy mi tutaj dupy nie trujcie z tym mlekiem — nadyma się Rataj. Jeszcze czego żeby mnie przez was Niemcy nachodzili.

Marianna też nie pomoże. Przycupnęła w kącie i patrzy z uległą wiernością na Józka. — Jak on postanowi, tak będzie...

Człowieku — tłumaczy Madziar — u Pacuły czterdzieści hektarów i pięć krow, u mnie tylko cztery morgi, to kto komu powinien pomóc, co? A zresztą nie dla siebie chcę tego mleka, ino dla ludzi w mieście.

Gówno mnie to obchodzi — warknął Rataj i zatrzasnął drzwi.

Antoni poszedł dalej, wstąpił do niektórych gospodarzy w Grudnie. Ten i ów obiecał dać po litrze, zebrało się osiem. Trzeba jednak zachować ostrożność, zachodzić wieczorami po doje.

Z niewielką banieczką, ukrytą pod kapotą, chodził Madziar w rannej pomocy miedzianą, bocznymi uliczkami do Rudy, na dalekie przedmieście Łodzi, pukał do umówionych mieszkań i sprzedawał swoje mleko. Zarobił co tydzień parę marek, ale Madziarowa trzęsała się ze strachu, bo przez te głupie marki mógł się łatwo przejechać do łagru, albo na roboty.

Okoliczne wsie leżały w znacznej

Wy, Madziary, popamiętajcie, co to znaczy podnosić rękę na Niemca! Bał się jednak przyznać, że leci na Polki, przeło inną drogą szukał zemsty. Janka i Felka zabrał do ciężkiej roboty. Razem z dorosłymi wywoził ich furą za Kalinko, Romanów, gdzie kopali rowy przeciwzłogowe. Niech tylko któryś stanie na chwilę dla rozprostowania grzbietu, a Hampe już przy nim! Szpicem buta kopie w twarz, w dupę, spycha w dół gliniaste.

Ileż się to napłakała Madziarowa, ileż długich wieczorów spędziła nad łóżkiem umęczonych, poobijanych dzieciaków!

Ala szła już ta zima. Sroga, głodna zima. Dla ludzi i zwierząt, bo nawet zające wlażyły za żerem przez uchylone wrota stodoły. Od dalekich stepów dął mroźny wiatr. Ludzie czuli w nim technienie wiosny...

Aż przyszła noc styczniowa. Nad Łodzią niebo w wielkiej, rozświetlo-

Wstał nowy dzień. Przez Grudno ciągnęły samochody wojskowe, wozy wyładowane gratami i pierzynami, pośród których siedzieli szwabscy nasiedleńcy. A z tej malinowej jutrzni nad Bukowcem wyjechały trzy skończoności Rosjanie na małych konikach. Przemknęły przez biel pól w srebrze, fiolecie, zatrzymały się koło chałupy Madziara i pytają, gdzie Germanicy. Madziar wskazał drogę, więc ruszyli na Ksawerów i Chocianowice.

Pustoszą wsie, uciekają Niemcy, ale nie Hampe! Tylko na co on czeka?

Szła noc. W rozgwieżdżonym niebie jęł pękających strun. Ludzie opuścili zabudowania, czołgają się w bruzdach, jakiś stary człowiek z miasta ciągnie młodą, chorą na nogi kobietę.

U Hampego w podwórzu jest pod ziemią coś w rodzaju schronu. Tam pchają się ludzie, bo Hampe łagodny, zaprasza, nikomu nie odmawia. Madziarowie z dziećmi tłoczą się w tym schronie razem z innymi. A Hampe krąży wokół jak wilk, przestawia z miejsca na miejsce banki z benzyną. Antoni to zauważa i czuwa...

Szarżalo. Ze spopielałego niebo-kresu wyjechały czołgi w czerwonych gwiazdach. Zatrzymały się na dwa metry przed schronem. Ludzie wychodzili spod ziemi. Plakali. Jeden z

czołgistów wsadził Janka i Felka na wieżyczkę czołgu. Krzyczą, śmieją się, płaczą; Hampe stoi blady.

Kto tutaj gospodarz! — pyta dowódca.

Wskazują Hampego.

No, a jaki on?

Skurwysyn! Lubli męczyć ludzi! Hampe patrzy w oczy Madziarów. Pokornie, błagalnie. Ale czego tam szukał? Mógł w tych oczach dojrzeć jedynie tamto bicie, ten żal po kradzionych krowach, nie więcej.

Rozpanoszyli się w pokojach białego domu. Hej, to ci była uczta! Hampe wyciągał z piwniczki gąsiora wina i butle nalewki, jego żona postawiła na stole wszystkie zapasy. Konfitury, pieczone kaczki, placki na palec nabity kruszonką. Tylko gdyby się otwierali! Krztusili się, młaskali, przepaleni głodem wojny. A potem poszły tańce w rozbujaną harmoszcę!

Madziar wraca do domu ze swoim bydłem odzyskanym. To jest piękny powrót. Madziarowa głasza z miłością krowy po bokach, chłopaki wieszają się rogatych łbów, całują parujące, zaślinione gęby.

Pod wieczór przyszło do Madziarów trzech chłopaków z pepesami, w białe-czerwonych opaskach na rękawkach.

Madziar, wy tu najbliższy, to popilnujcie trochę tego domu po Hampem.

A co mi do tego? — kręci głową Madziar.

Pilnujcie, bo to teraz polskie!

Pilnowali. Madziarowa swędziła ręce, kiedy przeliczała te statki, poscieli, bieliznę, ale Antoni nie pozwalał niczego ruszyć. W nocy wpakowało się dwóch z Gadki. Ledwie widzą, tacy nabimbrowani.

Ty czego tu siedzisz? — pyta jeden.

Pilnuję, bo milicjanci kazali.

Toś głupi! Podzielmy się i będzie dobrze.

Pchają się do izby, ale Madziar wyciąga spod stołu siekierę i staje twardo w drzwiach. Tamci pluja i klną.

Idiota! Szwabskiego broni.

Bolszewik pieprzony!

Gorżko, o gorżko! Ale widać Madziar już zawsze taki będzie nieprzejednany. Nawet żona nie ma na niego wpływu.

Fragment powieści „Pochylenie jesieni”, za którą autor otrzymał II nagrodę (I nie przyznano) na Konkursie Literackim im. Wł. S. Reymonta w 1974 roku.

RYSZARD BINKOWSKI

WOJNA

ką i mruczy z zadowoleniem.

Ty, Madziar, krowy wyciąga! Antoniego zatkano. Ręce mu opadły, zatrząsała się broda, patrzy na Hampego jak na wariata. Madziarowa w płacz.

Jakże to, panie Hampe? Te jedne żywicieli zabieracie?

Milczcie! Wy mi lepiej podziękujcie, że siedzicie na swoim.

Ale dzieci, panie Hampe! Co ja im dam do gęby, kiedy nawet tej kwatki mleka zabraknie?!

Mleko też być dobrą dla niemietkie dziecko — mówi z konia jeden z żandarmów.

Madziar oknął się z bolesnego osłupienia. Ukłonił się do podwórka i mamle:

Nie dam! Nie ma takiego prawa, żeby człowiekowi zabierać to, co zdobył w ciężkiej harówce. Jezus, a jałowkę też żem doglądał, ona już niedługo pójdzie pod bysia...

Hampe szarpnął go za ramię, ale Madziar kładzie się na ziemi i krzyczy:

Bierzcie sami, złodzieje, jak bydła nie wyprowadzę!

Żandarmi skierowali lufy na leżącego, zacisnęli palce na spustach. Chłopak wybiegł ze stodoły, przypadł do ojca i w bek.

Tata, tata kochany! Wstań, tata, chcesz, żebyś był bez ciebie zostali? — prosi starszy Janek.

Podniósł się Madziar, wszedł do obory, odwiązał łańcuchy od żłobu i wywiódł bydła w podwórze. Hampe pociągnął je na drogę. Jeszcze tam Janek z Felkiem czepiali się zakorupiałych zadków, ale pod kolbami karabinów polecili z placem w przydrożne łopiany.

A żebyście zdechli razem z tym waszym skurwysynskim Hitlerem! — melli przekleństwa Madziar.

Cicho, Antos — łagodząca Rozalka — jeszcze udlawia się tym naszym dobrem. I na nich przyjdzie kara boska.

Ala Madziar długo nie mógł zapomnieć nieszczęścia. Patrzył z żalem i nienawiścią na biały dom Hampego, na swoje krowy, pasące się za tym domem i przysiadły sroga zemsta, gdy nadejdzie akuracyjny czas.

Dziękujcie lepiej Bogu, że was nie spotkało gorsze nieszczęście — szeptała Wojewodzina.

Ano, w tym też prawda. Bo na tym ostroniu u Madziarów zawsze względny spokój. Nikt się jakoś nie łaszczy na piaszczyste splechutki i li-che chałupy Madziara i Wojewodziny. I nikt u Madziarów nie wie, że w Łodzi za wysokim murem chleb już droższy niż brylanty, pierścionki i kołczyki. Żydzi niosą przez noc ciała martwych dzieci i szepczą modlitwy.

„Czy ty o nas zapomniałeś, czy nie zapomniałeś; czy pamiętasz, czy będziesz pamiętał?”

A tam, jeszcze dalej, w tym nieszczęsnym kraju, dudnił w niebokresie marsz drewnianych szkieletów: krzyk zagipsowanych ust bił w milczenie krematoriów i popiół użyłniał martwiejące równiny.

W chacie pośród pól siedzi trwożna cisza. I głód. Pęźnie po cichutku przez izbę, ale w brzuchach burczy jak złośliwe kocisko. Chłopaki długo nie wracają we wrześniowe noce. Madziarowa nawołuje w ciemnościach, martwi się, wyrzeka, że ich jeszcze jakiś szkop postrzeli.

Zbismurmanię się chłopaki jak nie — zrzędzi — a ty nawet nie potrafisz im przyłożyć.

A dajże mi spokój — odpowiada Antoni. — Moja wina, że tak się dzieje?

Wracają, cali w rosie, umazani jak nieboskie stworzenia. Wytrząsają za koszul marchew, brukiew, główki kapusty. Na podłodze zielono, czerwono, tylko schylić się i zebrać.

Mój Jezu — labidzi Rozalka — przez te wojne złodziei dochowam się pod własnym dachem! Nie wstyd wam tak kraść?

odległości, lecz cichym rannym przedświtem głos niesie dobrze. Słychać nieboskie przekleństwa, warkot aut, płacz kobiet i dzieci. Siedzą ludzie na wczelkach, kobiety naciągają po pięć kiecek, dzieci śpią, znużone. Wszyscy czekają. Z ganku wychodzi żandarm i czyta listę. Ten tu, tamten gdzie indziej. Wyrok. Słuch, pożegnania...

Ech, wyrzucali ze wsi, z rodzinnych progów! Wywozili na roboty, prze-

nej cholnce. Wypływał z niej głuchy bas. A przy ziemi łomot, dudnienie w ognistych drzazgach!

Pospołu z Wojewodziną przesiedzieli tę noc pełną modlitwy. Madziar wychodził za stodołę, zmiarkować, czy Ruskie już blisko. I mówił:

— Byle lno rana doczekać. I nie lamentować. W polu bić się nie będą. I nikt nie wyceluje specjalnie w te nasze chałupy.



Fot. Archiwum



Fot. Archiwum

ZAWSZE MALOWAŁEM KONIE

W fabrykach ludzie pracowali za bochenek chleba, za dobre słowo, wiązały sznurkami maszyny, aby „szły”. Szukali u znajomych własnych mebli, sponiewieranych przez wroga na szlakach przesiedleń. Fabryki były ponumerowane, aby nie przypominać już nikomu Scheiblerów i Kohnów. Dopiero później zorientowano się w komitetach partyjnych, że fabryki noszące kiedyś nazwisko szefów fabrykanckiego gangu można chrzcić klasowo, po proletariacku, zamiast Poznańskiego rosła więc po wojnie kariera Marchlewskiego, zamiast Geyera — Dzierżyńskiego. Jeszcze później skojarzono losy ludzkie kreślone życiem

wszystko, czym Łódź rozkwitała, upoważniało do marzeń. W Łodzi roilo się przecież od prominentów i znakomitości. Był tu Schiller i Woszczerowicz, Barszczewski, Swiderski, Brzechwa, Galczyński, Nalkowska, Gojawczyńska, Dobrowolski. W klubie „Pickwicka” na pierwszym piętrze hotelu „Savoy” Schiller opowiadał o swych spotkaniach z Giraudoux, Pasternak przedstawiał się tu po raz pierwszy w swym życiu Galczyńskiemu, we „Fraszce”, gdzie dziś magazyny „Dziękuję” na Piotrkowskiej 96, w „Cyganerii” huczała nową Polską, odradzającą się po latach niewoli i jeszcze zupełnie nieświadomą eta-

kiewicz 8. był także przeznaczony dla plastyków. Nie przecież z tego wszystkiego nie wyszło. Przyjechał akurat z Lublina do Łodzi Ignacy Witz. Wysulił cierpliwie o tym wszystkim, co myślałem o utworzeniu w Łodzi akademii, o tych przygotowanych już mieszkaniach dla profesorów i malarzy. Ustosunkował się przede wszystkim do sprawy przyszłego lokum dla plastyków.

— Co? — wydział — Plastycy mają mieszkać w jednym domu? A więc będą sobie zaglądać nie tylko do garnków, ale i szpiegować po blejtramach?

— Był zdecydowanie przeciwny



Fot: Archiwum

fabryk z historią wielkich wydarzeń. Wiosną Ludów, Rewolucją 1905 roku...

Tramwaje ruszały, piekarnie coraz więcej wypiekały chleba, tak że kolejkę przed nimi ustawiały się już nie o drugiej w nocy, a nieco później, nad ranem. Myślałem więc, że życie zaczyna się normalizować, że czas zacząć wprowadzanie w czyn tego, o czym się myślało w czasie wojny. Wyniosłem z tego czasu niewyżyty pęd do „tworzenia” nowych światów — przy pomocy farb i pędzla, pięknych okrucich wymyślonej rzeczywistości. Do tego tworzenia namówił mnie i zdobył mój pierwszy sukces, gdy jako uczeń gimnazjum Narutowicza otrzymałem I nagrodę na ogólnopolskim konkursie malarskim. Dostałem ją za pięć akwarel, przedstawiających konie. To były pierwsze konie w moim życiu, dopiero teraz widzę też, że pozostałem im wierny przez prawie cztery dziesiątki lat.

Chciałem więc i po wojnie malować, zresztą nie przerwałem tej pracy i w czasie okupacji. Gdy przez Arbeitsamt trafiłem do firmy reklamowej „Mitnacht-Werbung” przy Piotrkowskiej 73, to i w tej firmie utrzymałem kontakt z farbami. Był tu prawdziwy azyl dla Polaków, pracowaliśmy na przykład razem z nieżyjącym już profesorem Radwan- skim, który w Łodzi przed wojną prowadził szkołę malarstwa i rysunku.

Malowałem w „Mitnachi” reklamowe „blikfangi”, przeróżne i przedziwne elementy plastyczne „chwytające” wzrok przechodniów, a w domu na Zakątniej malowałem konie. Pierwszy obraz pomógł mi sprzedać Angersztajn za 300 marek, potem malowałem dalej i wkrótce z tych pieniędzy za konie malowane na podłodze pod oknem, utrzymywałem nawet dom. W domu było ciężko, bo ojca skierowano do budowy dróg i za dziesięć dni pracy dostawał 18 marek. Ojciec jakoś z trudem doposażywał się do warunków okupacyjnych, a w czasie przesiedleń zabierał z sobą wszystkie krawaty, ale zapomniał o tym, co nam się mogło przydać na nowym mieszkaniu.

Ciągnęło mnie zatem do sztuki przez duże S i do malarstwa przez jeszcze większe M. Moje dłażer trafiłem 20 stycznia 1945 roku do Urzędu Wojewódzkiego, do referatu plastyki i ochrony zabytków. Zajmowałem się sprawami niezbyt ważnymi, ale przecież wszystko w owym styczniu powojennym jawiło się nam w innych niż dziś wymiarach. Już wtedy także marzyło mi się — mimo całej absurdalności tych marzeń — przeniesienie stolicy do Łodzi. Tym intensywniej o tym myślałem, gdy zostałem sekretarzem Związku Plastyków. Po latach przyszedł żal, ale wtedy — tuż po wojnie — to

pów, które ją czekały. W plastyce jasniało podobnie, jak w literaturze i teatrze...

Słucham tego, co mówi malarz. Siedzę przy stole, a tuż za moimi plecami wiszą na ścianie dwa drzeworyty. To są piąte odbitki drzeworytów Stanisława Ostoi Chrostowskiego, rektora Warszawskiej Aka-



Fot. Włodzimierz Parys

demii Sztuk Pięknych. Te drzeworyty robił on dla Goeringa — na zamówienie prezydenta Mościckiego. Malarz spotykał się z Chrostowskim, umacniał w postanowieniu, żeby malować dalej.

Ale nie tylko malować. Zorientowałem się na przykład, że Łódź nigdy nie miała akademii, czemu by więc jej teraz nie zorganizować? To nie, że w Łodzi nigdy nie było także ani uniwersytetu, ani politechniki, ani żadnej innej uczelni — najważniejsze dlań było powołanie uczelni dla malarzy. Chciał ją utworzyć w Łodzi, która nagle po wojnie wybuchła jak wielka bania polyskująca wielkościami. Malarz znalazł sojuszników w swych zamierzeniach.

Przy pomocy generała Roli-Zymierskiego, który w owym czasie mieszkał w pofabrykanckiej kamienicy przy Piotrkowskiej 159, uzyskałem lokal dla przyszłej uczelni. Ma się ona mieścić na Wieckowskiego 36, w dawnym pałacu Poznańskich, uzyskuje dla tejże uczelni wille przy ulicy Przyrodniczej. Na Wieckowskiego miała być akademii, na Przyrodniczej — mieszkania dla profesorów. General polubił malarza.

— Miał w 1945 roku moje dwa obrazy. Wybrał je sobie w moim mieszkaniu na Mickiewicza, upewniwszy się przedtem przez swego adiutanta, czy i kiedy go przyjmę. Do dziś wspominam ten „Wersal” połączony z żołnierską bezpośredniością. Ale, ale — zapominałbym, że i ten dom, w którym mieszkalem na Mic-

tworzeniu plastycznego kołchozu. I może miał rację. Tworcy bowiem — oprócz świadomości współuczestnictwa we wszystkim co się dzieje w otaczającym ich świecie — muszą mieć także poczucie pełnej swobody, a ta płynie z poczucia izolacji.

Na Wystawie Ziemi Odzyskanych w 1948 roku malarz stworzył pla-



Fot. Włodzimierz Parys

styczną apoteozę wysiłku pracy. Narodził się ten wysiłek w głowie malarza jeszcze pod koniec 1945 roku, kiedy to z Łodzi wyszły hasła przyspieszonej odbudowy kraju. Głośno było o tym w całej Polsce, a Łódźka młodzież, która pierwsza wystąpiła z apelem do młodzieży w kraju — zdobywała sobie coraz szersze i większe uznanie.

Malarz zapalił się do tematu, należącego dziś do historii powojennego 30-lecia. „Wysięgi” Tadeusza Kokieta, 28-letniego wówczas artysty, nabrał we Wrocławiu urzekającej symboliki. Duch klasyczny dawnych wieków spletał się z nowożytnym pojmoowaniem tempa i wysiłku ludzkiego. Jego panneau — będąc później wspomnianą programy wystaw malarza — ilustruje te wysiłki i to tempo przy pomocy olimpijskich rydwanów, szeregu historycznie utrwalonych elementów pracy i ludzkiego zmagania z przeciwnościami, aż po współczesną lokomotywę.

W tym czasie sporo wystawia. Na pierwszej większej wystawie po wojnie prezentuje swe prace obok prac Jerzego Zaruby, który wtedy zabłysnął szkicami portretowymi rysowanymi na posiedzeniach Krajowej Rady Narodowej. Dla ożywienia plastycznego nurtu Łodzi spóldzielnia pracy plastyków postanowiła co miesiąc urządzać wystawy grafiki malarstwa i rzeźby, aby — jak postulowano — nawiązać jak najlepszy kontakt z łódzkim społeczeństwem. Kokieta maluje swoje konie.

— Dlaczego konie? — pytam go teraz po tylu latach.

— W historii własnego narodu szukałem w latach okupacji wraz z innymi Polakami pokrzepienia serce. Trylogia pobudzała wyobraźnię, przed oczyma jawiły mi się dziesiątki postaci w historycznych kostiumach, obrazy potyczek, klęsk, ale i zwycięstw. I tak zacząłem malować własne sny. Pierwszych korekt moich prac dokonywali profesorowie Eugeniusz Aret i Michał Bylina, po wojnie pracowałem pod kierunkiem Felicjana Kowarskiego.

A więc konie — zarówno smukłe sylwetki koni pełnej krwi angielskiej, jak i ciężkie perserskie, uwielbienie dla Sienkiewiczowskiego dzieła, jak i własne odczucie w przyrodzie. Wszędzie jednak z obrazów przebiega afirmacja zwycięstw polskiego oręża. Akwarele lat 1960—70 stanowią w życiu malarza zwrotny, dojrzały okres przeżyć artystycznych. Powstaje w tym czasie „Jan Chryzostom Pasek na polowaniu”, „Jeńcy”, „W pościgu”, „Szwależerowie pod Ekmuehle”, „Batalia”, „Skerzusi i Helena”, „Szarża 14 pułku ułanów jazłowieckich pod Młocinami”. Pochodzi z tego czasu także olejny tryptyk partyzancki — „Hubalczyki”, „Jeńcy” i „Zasadzka” — i tym tryptykiem wchodził Kokieta swym warsztatem twórczym do najnowszej historii oręża polskiego.

— Z czego się cieszę? Z każdego następnego obrazu, jeśli w nim unikam błędów popełnionych w poprzednim.

— Ale prawdziwą satysfakcją dla malarza jest jego rodzina.

— Mam najpiękniejszą żonę — mówi — i najlepszą córkę.

Tę satysfakcję może porównać jedynie z tym co tworzy. A maluje konie. Ile ich namalował w swym życiu?

— Kilka dywizji jazdy — odpowiada.

— Prawie wszystkie te konie żyją w XVII wieku, w „Trylogii”.

Na sztalugach, tuż obok stołu, przy którym siedzimy, powstaje nowe dzieło. Obraz zaledwie podmalowany. Duże płótno, a na nim w coraz wyraźniejszych zarysach formuje się postać króla Władysława Jagiełły. Tę pracę zamówiło miasto, bo temat ma przejść do historii Łodzi na długie lata i na liczne pokolenia. Król wręcza mieszczanom pergamin z prawami miejskimi dla Łodzi. Działo się to w Przedborzu w 1423 r. O tym mieście, dla którego maluje „Nadanie praw miejskich”, mówi, że potrafiło ono stworzyć najlepsze warunki rozwoju i twórczości dla tych wszystkich, którzy chcą mu pozostać wierni, którzy — jak to określa — pokochali brzydkie kiedys „kaczatko”.

W rozmowie było o koniach i pasjach malarskich, o stosunku do rodzinnej Łodzi, zawsze pełnym zaangażowaniu, zawsze gorącym, o sprawach osób najbliższych. — Ale — córka nie będzie studiować sztuk pięknych.

— Będzie studiować filologię rosyjską, chociaż wyczuwam w niej duży talent malarski. Może jakoś pogodzi oba te kierunki — filologia da jej pracę i środki na utrzymanie, a malarstwo — wielką, przypuszczam, przyjemność. Taką co najmniej, jak ojcu. Zresztą nie chciałbym się z nią rozstać, a to byłoby konieczne, gdyby studiowała sztukę w Warszawie, czy w Krakowie. Niestety — nie udało mi się zorganizować akademii na miejscu, w Łodzi.

Na sianach pełno zbroi — szable, rycerskie szyszaki, jatagany, sztylety. Na adapterze, w rogu pokoju, dawny czas, osnuty już rzewną mgiełą żalu, wspomnień czy tęsknoty, przywołuje Ordonówna.

— Chciałem kiedyś zrobić pełny album malarski „Trylogii”, chciałem spojrzeć na ów okres Rzeczypospolitej oczyma malarza dwudziestego wieku. Ale nie znalazłem wydawcy.

Płyta skrzypi, płacze niemal, zdarta przez igłę. Nie udało się malarzowi stworzyć w Łodzi Akademii Sztuk Pięknych, namalować tego „współczesnego” albumu o Sienkiewiczowskich bohaterach i nie udało mu się, bo mu żal rozstawać się z ukochaną córką, posłać ją na studia plastyczne do Warszawy lub Krakowa.



Fot. Włodzimierz Parys

Listy do redakcji

„Z ARMATY DO WRÓBLA...”

Mój ulubiony — piszę to bez żadnej ironii — publicysta z „Odgłosów” w felietonie „Z armaty do wróbla...” wybroni amerykańskiego piosenkarza, sierżanta US Army, Barry Sadiera, który w swoich piosenkach GLOREFIKOWAŁ wycieczki amerykańskich marines w Wietnamie, tych wspaniałych chłopaków z Bennie Greenem na czele do których mogli się czerwoni (song „The Lord's Prayer — Bennie Green”). Nie muszę dodawać o co błądali i dlaczego modlili się czerwoni partyzanci w Wietnamie do tego wspaniałego faceta z Knoxville, który wziął ich do niewoli. Mój ulubiony twierdzi, że może Barry Sadier, to do prostu dobry piosenkarz, może jest to po prostu dobra artystyczna piosenka, pisze dalej, że polskich młodych ludzi bardziej obchodzi melodia i rytm, a nie treść piosenek. Pozostawiam to bez komentarza.

Autor w/w artykułku do końca jednak nie jest pewien, czy to on właśnie ma rację. Asekuruje się (aż sześciokrotnie!) takimi zwrotami: (cytuje „...nie broni Barry Sadiera, bo nie znam jego ballady... nie jestem mocny w światowym ruchu piosenkarstkim... nie wiem o czym konkretnie śpiewa Connie Francis...” itd. itd. Tak więc reasumując: jeśli nie bronię, nie jestem pewien, nie wiem, nie znam, nie jestem mocny, to PO CO PISZĘ?

Sejskam spracowaną dłoń red. Jerzego Widoka i zapraszam na kawę.

ANDRZEJ JÓZWIĄK

P.S. W tym samym numerze „Odgłosów”, w którym ukazała się obrona sierżanta Sadiera przeczytałem odpowiedź czytelnikowi, w której red. Jerzy Wilmański grzmi na jakiegoś nieszczeniaka, który ma pieniądze i chce kupić nowego Wartburga, ale nie może kupić do Wartburgów nie ma. Red. Wilmański spokojnie wyciąga armatę i po chwilowym ostrzale przedpola huknęło, błysnęło, zagrzmiło: (cyt.) „Jest dla mnie obojętne, czy Pan istotnie trzyma w szufladzie „rezewowe” 100 tysięcy złotych... Dla mnie najistotniejsze jest to, że Pan — nie licząc się z rzeczywistością, jaka Pana otacza i w której Pan żyje — STAWIA SIEBIE W SYTUACJI... WZAN, KA KONSUMPCYJNEGO BOGATEGO SPOŁECZEŃSTWA ZACHODU” (podkr. A. J.).

To była armata i to był dopiero strzał. Kanonierze Wilmański awasuje Was do stopnia bombardiera.

A. J.

Andrzej Józwiak z podziwu godną przenikliwością zestawiał fragmenty z jego felietonu z polemiką z Jerzym Widokiem. To rozdwojenie jaźni jest niezwykle charakterystyczne. Gdybym się uparł, skojarzyłbym w jedną osobę Andrzeja Józwiaka — publicystę muzycznego z Andrzejem Józwiakiem, prezesem Stowarzyszenia Muzyki Estradowej oraz Andrzeja Józwiaka — kierownika artystycznego Targów Estradowych, z Andrzejem Józwiakiem — dyrektorem agencji koncertowej. Gdybym tak napisał — ktoś mógłby pomyśleć, że to jedna i ta sama osoba. A to przecież niemożliwe.

Jerzy Wilmański

NA WAKACJACH

Do Miłna Koszalińskiego startowałem z Warszawy, dokąd zawiodły mnie niecierpiące zwłoki sprawy do załatwienia. Gdy pytałem (a pytałem w trzech różnych punktach informacyjnych PKP), jak dostać się do Koszaliny, wszędzie mówiono mi, że najwygodniej — pociągiem popołudniowym z Warszawy. Wschodniej o dwudziestę z górami. (Miejsce w samolocie nie było). Na peronie zebrało się ze dwie i pół setki podróżnych z nie-klipskimi bagażami, ale okazało się wkrótce, że nasz „popiech” wyruszył ze stacji — Warszawa Zachodnia i za Wisłę pociąg już dokładnie zapędził. W dworcowym barze w Koszalinie — miała niespodzianka: można wypić kubek gorącego mleka (a piwa brak) i zjeść świeżo, chrupiące bułeczki.

Za chwilę wsładam w elucie, która w drodze do Miłna — gdy tory mają przeciąć szosę — zatrzymuje się; pociąg nie wysiada i zamyka ruś przewoźniczą (bo brak szlabanu) i już można jechać dalej.

Przyjeżdżam wcześniej rano. Pogoda ładna, słoneczna, ale jest to podobno pierwszy od tygodnia dzień bez deszczu. O miejsca bardzo trudno. W informacji turystycznej PTK — wiadomo, że w Koszalinie w informacji FWP (w którym to pociągu nie istnieje pociąg niewykorzystane rezerwy) — na wszelki wypadek załatwiała odmownie. Jedna osoba — to się nie opłaca, twierdziła przywaciarze. Mimo wszystko znalazłem chatę. W trakcie pobytu okazało się, że Miłno jest okupowane przez łodziaków; łódzkie zakłady pracy mają tam kilka ośrodków wczasowych, sporo mieszkających miast przyjeżdża prywatnie. Tylko kładek nie oddają, czasem — po dwa lata, skarzy na moich słowach, symatycznie pani w miejscowej bibliotece, w której — pociąg — kolektorów wyczerpała ruś przewoźniczą w deszczowe nonuludnia. Teraz jest uwalnie. Po śniadaniu całe rodziny wyczerpała się na plażę, nóżnili obiad, i znów plaża. Dziwnym pomysłem są jednak przerwy obiadowe w miejscowych sklepach, trwała one najeżdżając od 12 do 14 lub od 13 do 15, a więc właśnie wtedy, kiedy i tak schodzi się z plaży na obiad, a można by od razu dokonać zakupów. A tak trzeba iść raz wyczerpać — jak się to szumnie mówi — do miasta, pod wieczór, zainicjowała się świetlica i sale wyposażone w telewizor, fletczon i warty. Na robili się w lokalach damskich, gdzie dużym nowożemem cieszy się „Orion”, w którym codziennie za jedną stówę można zobaczyć, jak rozbiera się do rosołu pani z minimalną wadą awaryjki, o dziewczynnym pseudonimie „Consu, elu”.

Zaopatrzenie w prasę — dość dobre. Jest „Literatura”, „Kultura”, „Polityka”; są także łódzkie przednoludniówki i „Kultura”. Brak jedynie „Odgłosów”, ale sprzedawcy w kioskach twierdzą zgodnie, że wyjątkowo nie dotarły.

W słodwym dniu pobytu w Miłnie znowu pada. Nawet dobrze, myślałem, że odjeżdżam. Nieopodal gruna dmuchawych wrostków odbija „patyka” i śpiewa chóralnie: „Hei, hei — ŁKR” — a więc to też łodziak: Robie dwie przesiadki w Koszalinie i w Białogardzie, by wiaść do zupełnie pustego pociągu z Koblbrzeru do Łodzi. W siodlu czy ośmiu wozonach ledzie dostawnie kilkanaście osób. Tak też do samej Łodzi.

A w tamtą stronę nie ma gdzie noli postawić — mówi konduktor, gdy wysiadam na „K...”

KRZYSZTOF DRZEWIECKI



LAS FOTOREPORTAŻ WŁODZIMIERZA PARYSA

REŻIM GEN. FRANCO NA RÓWNI POCHYLEJ?

Ostatnie wydarzenia w USA (o czym piszemy niżej) — dymisja prezydenta Nixona i objęcie jego urzędu przez nowego prezydenta Geralda R. Forda odsunęły nieco z naszego bezpośredniego pola widzenia inne wydarzenia światowe. Tymczasem rytm życia politycznego narodów i społeczeństw toczy się dalej i niechym w reakcji łańcuchowej jeden wypadek pociąga za sobą następny, będący jego wypadkową. Tak było z upadkiem „rządu pułkowników” w Grecji po wypadkach na Cyprze, tak zaczyna się również w Hiszpanii w związku z sytuacją w Portugalii.

Narastający kryzys gospodarczy w Hiszpanii, rozkręcająca się spirala inflacji — zwykła cen przewidywana w tym roku do 20 proc., wobec 14,2 proc. w roku ubiegłym, stwarza określoną sytuację polityczną. Panującemu reżimowi wymyka się z rąk jeden z najbardziej ważkich argumentów, jakim była dotychczasowa względna stabilizacja gospodarcza. Proces fermentacji w życiu społeczno-politycznym wzmacnia się i obejmuje coraz to szersze kręgi społeczeństwa. Narastające niezadowolenie i żądanie zmian zespala dążenia różnych, niejednokrotnie obcych sobie do tej pory ugrupowań i partii.

Powstały przed paru miesiącami „Hiszpański Komitet Demokratyczny” skupił wobec przedstawionego przez siebie programu zarówno socjalistów i komunistów jak i monarchistów, przedstawicieli przedsiębiorstw a nawet przyciągnął niektórych przedstawicieli reżimu frankistowskiego. Ogłoszony przez Komitet 30 lipca, równocześnie w kraju i w Paryżu apel do narodu stwierdza, iż „reżim frankistowski zbliża się ku końcowi”. W tej sytuacji Komitet proponuje do czasu utworzenia władzy opartej na wyborach powszechnych, powołanie rządu tymczasowego. W międzyczasie — jego zdaniem — należy ogłosić całkowitą amnestię i niezwłocznie uwolnić wszystkich więźniów politycznych, zalegalizować wszystkie partie polityczne, dać swobodę działania organizacjom zawodowym łącznie z uznaniem prawa do strajku, zgromadzeń, zapewnić wolność prasy i niezawisłość sądów. Komitet domaga się również, w tym ultrakatolickim kraju, oddzielenia Kościoła od państwa. Po przywróceniu żądanych swobód demokratycznych i tylko pod tym warunkiem, należy w terminie 18 miesięcy przeprowadzić wybory powszechne.

Prasa zachodnia nie bez pewnego zdumienia i zaniepokojenia przyjęła ten program „pojednania narodowego” — jak go nazywa. Po raz pierwszy opozycja frankistowska potrafiła przedstawić tak konkretny i realny program reform i skonsolidować wokół niego tak szerokie kręgi społeczeństwa. O tym że jest to program pokojowy że od dyktatury do demokracji można przejść bez rozlewu krwi i wojny, świadczy przykład Portugalii.

„Tymczasowe” przekazanie władzy szefa państwa księciu Carlosowi de Borbon przez złożonego chorobą, 82-letniego gen. Franco nie może nie dać narodowi hiszpańskiemu i nie uratuje reżimu. Profesor Enrique Tierno Galvana, jeden z przywódców hiszpańskiej Partii Socjalistycznej stwierdził, że „dyktaturę się nie dziedziczy i że zawsze, gdy znika dyktator, staje się wcześniej czy później coś nieprzewidywanego przez logikę polityczną dyktatury”.

Co stanie się z Hiszpanią?

Opracował: JAN T. JANICKI

W głębinach morskich czai się niezliczona ilość stworzeń bardzo niebezpiecznych dla człowieka — od maleńkich drobniaków aż do najbardziej „rozumnych” drapieżników. Niektóre z nich byłyby zdolne do wytrucia wszystkich ludzi naszej planety, inne mogą przekonać człowieka w całości, jeszcze inne zabijają w przeciągu kilku sekund, wyrzucając śmiercionośne „strzały”.

Ale człowiek jest nieomal z reguły ofiarą własnej nieostrożności, kiedy celowo lub przypadkiem znajdzie się w pobliżu zwierzęcia, które może go ranić lub nawet pozbawić życia. Jednym z najbardziej „egzotycznych” zabójców morskich jest — o zdobiona barwnym pierścieniem — niewielka ośmiornica, pelzająca po dnie morskim u wybrzeży Australii. Ludzie rzadko czują ukąszenie tej ośmiornicy. Odczuwając, po wyjściu z wody, silne zawroty głowy człowiek może się tylko domyślać, że padł jej ofiarą. Właściwie jest ona jedynym ze znanych dotąd głowonogów, które zabijają człowieka trucizną. Jad ośmiornicy poraża system nerwowy-mięśniowy, blokując impulsy nerwowe, które regulują pracę mięśni. W konsekwencji następuje paraliż organów oddechowych.

W podwodnym królestwie morskim, poza wspomnianą już ośmiornicą pierścieniową, żyje zdumiewająco duża ilość stworzeń morskich niezwykle jadowitych, nawet takich których jad jest o wiele silniejszy od jakiegokolwiek znanych dotąd trucizn pochodzenia zwierzęcego.

Na przykład „morska osa”. Jest to tropikalna meduza, której czule macki są uzbrojone w „żądła” zdolne do zadania śmierci człowiekowi w ciągu niewiele sekund. Albo taki mieszkawiec raf jak „ryba-kamień”, mniejsza od pilki nożnej a przecież bardziej śmiercionośna od rekina. Niemal ośmiornicę ludzkiej ma na swym koncie „stożkowy ślimak”, uzbrojony w rodzaj „miniatury harpuna” z niezwykle jadowitym ostrzem.

SILNIEJSZE OD KURRARI

Ryby z rodziny koszykowatych wytwarzają substancję trującą o silnym działaniu paraliżującym system nerwowy. W działaniu są one 150 razy silniejsze od jednej z najbardziej strasznych trucizn — kurrari. Niemniej w Japonii, specjalne restauracje, w których podaje się te ryby, nazywane tam „fugu”, nie mogą się opędzić od klientów. Odpowiednio przygotowana jest uważana za rzadki rarytas.

Ale żeby uzyskać zezwolenie na przygotowanie tej ryby do konsumpcji trzeba przejść specjalny kurs i otrzymać dyplom. Wiele osób, które często spożywają „fugu”, czy też używają jej do przypraw, odczuwa po pewnym czasie „przyjemne oszo-

mienie”. Po zjedzeniu dania z „fugu” po całym ciele rozchodzi się „rozkoszne ciepło”, doznaje się uczucia wesołości i rzeźkości. Tym chyba należy tłumaczyć jej niezwykłą popularność wśród japońskich smakoszy, chociaż częste spożywanie „fugu” jest przyczyną śmierci około stu Japończyków rocznie. W niektórych rejonach Japonii nie wolno jej sprzedawać w ogóle. Ale chodzi tu raczej o niedostatek rygorystyczne przestrzeganie obowiązku odpowiedniego przygotowania kucharzy, od których wymaga się doskonałego stanu zdrowia i zdania bardzo surowego egzaminu. Kucharz „fugu” musi znać anatomiczną budowę tej ryby, orientować się w toksycznych właściwościach jej poszczególnych części i umieć udzielić ofiarze ewentualnego zatrucia pierwszej pomocy.

Kłując kołcem wypuszczają z niego swój śmiercionośny jad. Największa liczba wypadków śmiertelnego porażenia ludzi przez ryby przypada na płaszczki, nie dlatego, że są specjalnie agresywne, lecz po prostu dlatego że często leżą zaszyte w piasku w miejscach najczęściej odwiedzanych przez plażowiczów i rybaków. Liczbę ofiar jadowitych płaszczek liczy się na tysiące. Broń płaszczki jest ostry gruby kołec na końcu ogona, przypominającego bicz. Rozmiary płaszczek są różne — od małych, półmetrowych do gigantów liczących sobie dwa metry szerokości i sześć metrów długości, z ogonem grubości męskiej nogi. Taki przerażający stwór morski bez wysiłku przebiją kołcem burtę drewnianej łodzi! Waży ponad trzysta kilogramów...

POTWORY MORSKICH GŁĘBIN

Ogólnie rzecz biorąc, jady stworzeń morskich wywołują przeróżne następstwa: konwulsje, zatrzymanie funkcji serca, zablokowanie oddechu, paraliż, krowotok, palące bóle, zaburzenia systemu nerwowego. Niektóre z toksyn pewnych odmian stworzeń morskich są trzykrotnie silniejsze w działaniu od bojowych gazów trujących!

NIEBEZPIECZNE JAK ŻMIJE

Mieszkawiec Oceanu Indyjskiego spotykany wszędzie od wschodnich wybrzeży Afryki aż po Australię — „ryba kamień” — poluje na rafach. Chropowatość ukształtowania raf doskonale maskują jej kształt. Na pierwszy rzut oka nie różni się od kawałka uschłego koralu czy barwnego kamienia. Odmianą „ryby-kamienia” są „ryby-zebrzy” i również urodziwe — „ryby-lwy”. Wszystkie te rodzaje pięknie ubarwionych ryb są bardzo jadowite. Nie mniej jadowite są także niektóre „ryby-żaby”. Pewien ich rodzaj jest uzbrojony w doskonały aparat produkowania i wtryskiwania trucizny. Spotykane w wodach Południowej Ameryki mają dwa kołce na pierwszej płetwie pectoralnej i na skrzylach. Niektóre „ryby-żaby” mają kołce przypominające żęby najbardziej jadowitych żmij.

ŚMIERĆ W KILKA SEKUND

Zadziwiające, iż do najbardziej niebezpiecznych dla człowieka mieszkawców morza należy najbardziej delikatny i kruchy stwór morski — „morska osa”. Ta niewielka meduza Oceanu Indyjskiego zabija człowieka w przeciągu kilku lub kilkunastu sekund od momentu, jak dotknie go jej straszliwe czułki. Niektóre ich rodzaje bardziej przypominają rośliny niż stworzenia. „Morska osa” należy do jamochłonów. I chociaż, podobnie jak wszystkie jamochłony, jest bardzo prostym organizmem biologicznym, to jednak sposób w jaki zdobywa pożywienie zasługuje na najwyższą uwagę. „Morska osa” posiada bowiem broń będącą arcydziełem inżynierskiego geniusza przyrody. Jej czułki są uzbrojone w zdumiewające komórki, które w reakcji na podrażnienie natychmiast „miotają” maleńkimi zatrutymi „harpuniki”. „Morskie osy” są zdolne do wyrzucania tysięcy takich „harpuników” w jednej sekundzie, „nasycając” swoją ofiarę silnym jadem. Zatrucie to pali nie mniej od ognia i pozostawia na ciele czerwone plamy. W zależności od rodzaju jadu mogą wystąpić różne symptomy zatrucia — od bólu głowy i duszności do paraliżu organów od-

dechowych i przerwania funkcji serca włącznie.

Wystając nieco ponad powierzchnię wody, pędzone wiatrem, mienią się w słońcu niebiesko i różowo, płyną całą lawicą w poszukiwaniu drobnej rybki. Nie jest to jakieś jedno poszczególnie żyjątko, lecz cała kolonia tych niezwykle stworzeń morskich, których „zmasowane” czułki ciągną się na przestrzeni od 20 do 30 metrów. Gdy w tę strefę czulek wpadnie ryba, „morskie osy” wyrzucają dziesiątki i setki tysięcy miniatury „harpunów”, które wbiłszy się w zdobycz wypuszczają jad i paraliżują ją natychmiast. Niemalże ludzie odczuli na sobie ich palące dotknięcie.

GIGANT MORSKI — „MEDUZA ARKTYCZNA”

W odróżnieniu od takich kolonii, spotyka się w morzach także meduzy żyjące samodzielnie. Ich galaretowaty i kopolowaty korpus jest otoczony czułkami. Kiedy meduza, rytmicznie kurcząc się i rozkurczając, porusza się w wodzie, jej czułki chwytają rybkę, paraliżują ją i wciągają do wnętrza kopuły. Meduzy, chwytając i pochłaniając ryby dowolnej wielkości, zwłaszczą gigantyczne „meduzy arktyczne”, potwory z korpusem dochodzącym do półtora metra średnicy. Ten przerażający stwór morski może wyciągnąć swoje czułki na odległość około... sześćdziesięciu metrów! I chociaż nie słyszano o wypadku, żeby „meduza arktyczna” zabila człowieka, to jednak wiadomo na pewno, że może to uczynić bez trudu.

Spośród stworzeń morskich, które mogą być użyteczne z punktu widzenia badań biochemicznych najbardziej obiecujące są „jeże morskie”, „morskie ogórki”, „morskie rozgwiazdy” i im pokrewne.

„Morskie ogórki” pelzają po dnach wielu mórz. Kiedy zagraża im drapieżnik — demonstrują zdumiewający sposób obrony: wyrzucają w wodę własne wnętrzności, co zresztą nie wyrządza im żadnej szkody. Kiedy z wnętrza „morskich ogórków” dokonano wyciągu toksyny okazało się, że zaledwie jedna jej uncja (28,3 grama), wypuszczona do około 3 tysięcy litrów sześciennych wody morskiej zabija znajdującą się w niej rybę w przeciągu pół godziny.

Mieszkańcy wysp południowej części Oceanu Indyjskiego od dawna znają te właściwości „morskich ogórków” i używają ich do trucia ryb w zamkniętych lagunach. Jak stwierdzili amerykańscy uczeni, toksyna ta działa na system nerwowy i mogłaby być używana jako środek usmiędlający bóle, stwierdzili oni także, że gąbki posiadają związek, wykazujące właściwości antybiotyków.

Ileż nie zbadanych jeszcze możliwości kryją morza?

JERZY CZECH

A CZEMU NIE?

O tym, że Kraków ma swoją długą i bogatą historię wie każde dziecko, rzecz jednak w tym, że ma on także swoją regionalną krakowską historiografię. Spoglądam na tasemcowy już dziś spis tomów, wydanych w ramach „Biblioteki Krakowskiej”, ogłaszanej pod auspicjami Towarzystwa Miłośników Historii i Zabytków Krakowa i oszarnia mnie zaskórność. Seria ta, publikowana od 1897 roku, dla lata temu zrodziła tom opatrzonej numerem 114. Ta sto czternasta książka jest pracą Janiny Kras „Wysze kury dla kobiet im. A. Baranieckiego w Krakowie 1868—1924” (1972), monografia dziełowej unikalnej w skali krajowej uczelni, która odegrała nieprzeciętną rolę w zakresie szerzenia oświaty i kultury. A jak jest w Łodzi?

Czy zdołaliśmy powołać do życia analogiczną serię wydawniczą, poświęconą dziejom i kulturze naszego miasta, jego ludziom? Takie pytanie należy sobie kiedyś postawić i myśleć, że czas już dojrzał po temu, by uświadomić sobie potrzebę przynajmniej wydawniczej koncentracji wysiłków celem utworzenia specjalnej serii czy cyklu wydawniczego, poświęconego całokształtowi problematyki łódzkiej. Istnieje wszak w naszym mieście poważne i płodne środowisko intelektualne, żywo zajmujące się problematyką łódzką, posiadamy w postaci Wydawnictwa Łódzkiego zaplecze wydawnicze, istnieje już wcale pokazy — choć na pewno nieporównywalny z Krakowem, Warszawą czy Poznaniem — dorobek publikacji, wiadomo też o dzielnych zalegających w maszynopisach bądź zniechęconych w opracowaniu. Wiedzą czemu nie? Czemu nie powołali do życia czegoś w rodzaju „Biblioteki Łódzkiej”, ująć ją w jednolitą szatę wydawniczą, publikować te i inne jeszcze prace zgodnie

z obmyślonym uprzednim planem? Fakt istnienia serii wydawniczych stanowi jak o tym pouczają dzieła innych środowisk poważny bodziec dla autorów, przyczynia się do aktywizacji zainteresowanych środowisk twórczych, pobudza zainteresowanie czytelników, choćby tylko z racji sprzyjania kolekcjonerstwu.

Serii niewielkich broszur, opublikowanej w związku z jubileuszem naszego miasta, adresowanej do najszerszego kręgu czytelników nie możemy wszak traktować inaczej, jak niezły, ale mimo wszystko surogat publikacji poważniejszych i bardziej trwałych. Początek już zrobiono, bo i ten bardzo popularny cykl ujawnił zarówno bogactwo problemów, jak i wcale sporą gamę kompetentnych, w dodatku umiających pisać autorów i za to należy się wdzięczność inicjatorom tego przedsięwzięcia. Myślę jednak, że wypływa z niego nauka, że stać nas na więcej i lepiej, że dość już czekania i można zabrać się do poważnego przemyslenia sprawy możliwości utworzenia czegoś w rodzaju „Biblioteki Łódzkiej”. Nie musi ona być koniecznie „aktualna” sama, jak „Biblioteka Krakowska”, bo i w innych czasach będzie wychodzić i inne zagadnienia winna by rozpatrzeć, choć przykład krakowski chociaż stary, nie jest wcale taki zły. „Biblioteka Krakowska” potrafiła przez blisko osiemdziesiąt lat swego istnienia łączyć różnorodne kręgi problemowe, od najbardziej ogólnych, ważnych dla poznania dziejów już nie tylko regionu, ale w ogóle przeszłości Polski, do bardziej szczegółowych, ściśle regionalnych, potrafiła publikować zarówno poważne naukowe monografie, jak zbiory szkiców, a wreszcie także materiały naukiemiarne i wręcz kronikarskie.

Prawda, że nie wszystko było i jest jednakowej wartości, ale jest prawem serii, że liczy się jej całokształt, który prezentuje się bardzo interesująco. Nie zapominajmy też, że właśnie w „Bibliotece Krakowskiej” ukazywały się takie wciąż czytane i powoływane w badaniach z historii Polski monografie jak np. J. Gollenhofera „Rewolucja krakowska 1848 roku” (1908), T. Kupczyńskiego „Kraków w powstaniu kościuszkowskim” (1912), W. Tokarza „Kraków w początkach powstania styczniowego” (1914), M. Niwińskiego „Wojtostwo krakowskie w wiekach średnich” (1938), po wojnie zaś choćby zbiorowy tom „Kraków pod rządami wroga” (1946), również zbiorowe „Odrodzenie krakowskie” (1954) czy także tom pt. „Kraków w powstaniu styczniowym” (1968). Bez tych i innych publikacji nasza nauka historyczna obywać się nie może. A inne cykle tematyczne, może mniej ogólne, ale jakże ważne? Monografie poszczególnych kompleksów zabytkowych, krakowskich uczelni i teatrów, dzieje ulic i tyle innych — wszystko to składa się na interesującą i liczącą się całość. „Biblioteka Łódzka”, jeśli doszłoby kiedyś do jej powołania, wyglądałaby zapewne inaczej, ale przecież nie mogłaby uniknąć i podobnej tematyki.

Jeszcze jedno. Interesujących publikacji o Łodzi, takich które z powodzeniem mogłyby znaleźć się w tego rodzaju projektowanym wydawnictwie, jest już wcale sporo. Większość z nich dawno już jest wyczerpana, wiele z nich ogłosiło „Wydawnictwo Łódzkie”. Czy na początek nie można by pomyśleć także o wznowieniu niektórych z tych pozycji, w szczególności tych, które bardzo byłyby potrzebne w owej „Bibliotece Łódzkiej”? Przecież wznowienia zdarzają się wcale często, i słusznie, czyż zatem części ich nie należałoby włączyć do zaplanowanej serii?

Myślę że sprawa dojrzała do rozpatrzenia.

Nie znam planów Wydawnictwa Łódzkiego choć nie wątpię, że zamierza ono aktywniej niż niegdyś podejmować problematykę regionalną a za jej pośrednictwem ogólnopolską. Nowoczesna forma badań regionalnych to nie regionalność dla regionalności, to zgola co innego: to ukazywanie na materiale regionalnym wielkiej problematyki ogólnokrajowej, w jej miejscowej specyfice i swoistym kolorycie, z pełną świadomością związku z tym co ogólne. Wiele jest co do tego nieporozumień, wiele wydawniczych niewypałów, chorujących na zaściankowść spojrzenia, również w Krakowie, Warszawie czy Poznaniu. Nowocześnie rozumiane badania regionalne stawiają sobie na celu dokumentowanie udziału regionu w życiu kraju, ukazanie jego roli i dorobku w skali ogólnokrajowej, a czasem... jeszcze szerzej. Doprawdy są to nieraz problemy bardzo, bardzo szerokie: wszak nie zrozumiemy w pełni mechanizmów tworzenia się wielkoprzemysłowych centrów kapitalistycznych bez... wszechstronnego, zbadania narodzin łódzkiego ośrodka przemysłowego w ubiegłym stuleciu! Ale o tym innym razem.

Zakończmy poddaniem pod dyskusję pytania: czy powinniśmy i czy możemy powołać do życia w naszym mieście coś w rodzaju „Biblioteki Łódzkiej”? A jeśli tak, to jak to uczynić?

LEKTOR

ZDARZENIA ZWIERZENIA?

Kiedyś, po latach, historyk, który badał będzie dzieje prasy łódzkiej naszego trzydziestolecia, bez trudu trafi do roczników gazet. Znajdzie tam wszystkie dni i tygodnie zakłate na kolumnach druku, będzie mógł odczytać z pożytecznych stron zdarzenia i refleksje, zwierzenia i tendencje...

Nie wiem, jednak, czy tak łatwo trafi przyszły historyk do ulotnych druków powojennych wydań specjalnych. Wydawano je z różnych okazji, najczęściej w niewielkiej ilości egzemplarzy, nie były to druki kolportowane normalną drogą, stanowiły rodzaj pamiątki, a z pamiątkami, wiadomo, jak bywa. Po jakimś czasie rzuca się je w kąt.

Dziś istnieje zaledwie parę egzemplarzy specjalnego wydania „Głosu Robotniczego” na 10-lecie gazety. Bodać nie ma tego druku w komplecie „Głosu” z roku 1955. Może ma ktoś ze starszych pracowników, może Wiesiek Machajko, który był tego wydania współautorem.

Następne dwa wydania rocznicowe „Głosu Ochotniczego” (ochotniczego, ponieważ wówczas zawsze społecznie, redagowany przez grupę entuzjastów dobrej dziennikarskiej zabawy) są już w moim archiwum i w archiwum „Głosu” również. Były to gazetki na 20-lecie gazety i na jej czterdziestolecie. Oczywiście królowała

NOTATKA DLA HISTORYKA

tam autoparodia, żart i satyra o bardzo wąskim zakresie percepcji. Już dziś większość drukowanych tam tekstów trzeba by opatrywać komentarzami i przypisami, bowiem ich czytelność była doraźna i zrozumiała tylko dla kręgu pracowników „Głosu”.

Ostatnie wydanie „Głosu Ochotniczego” (20 czerwca 1970) miało już nakład 700 egzemplarzy — miejmy nadzieję, że za rok, na 30-lecie gazety ukaze się czwarte wydanie specjalne.

Natomiast pierwszym (poza „Głosem”) wydaniem specjalnym zanotowanym przeze mnie w minionych latach jest „Merkury balowy extra ordynaryjny”. Ukazał się w nakładzie 350 egz. na początku roku 1962. Nie wiem, kto był autorem i inicjatorem gazetki, stanowiła ona wkładkę do zaproszenia na Bal Prasy. Znalazły się tam zgrabne parodie wszystkich łódzkich gazet, a wydaniu przewodziło hasło: „Tancerze i tancerki wszystkich sal — łączcie się”.

No i wreszcie czas przejść do wydań specjalnych „Odgłosów”. W ostatnich latach mieliśmy trzy takie wydania. Dwa poetyckie — a więc poważne, z okazji Festiwalu Poezji i przeznaczone w zasadzie dla uczestników imprezy. A więc w roku 1973 opublikowaliśmy w nakładzie 300 egz. czterokolumno-

we wydanie wierszy łódzkich poetów, w roku bieżącym zaś podobną publikację specjalną włączyliśmy już do całości nakładu. Nie jest to więc typowe wydanie specjalne.

Natomiast na 15-lecie „Odgłosów” wydaliśmy (bez daty i bez tzw. metryczki) parodystyczny numer w nakładzie 300 egz., z ogromnym, na całą kolumnę „Listem gończym”, w którym znalazły się podobizny wszystkich członków redakcji, poszukiwanych za „zawładnięcie redakcją tygodnika „Odgłosy” i melinowanie w niej dużych ilości lakieru”.

Autorów tekstów, ukrytych co prawda za pseudonimami, łatwo było rozszyfrować: „Jerry Willmann, Georges Vidoue, Jurij Widokow i Bohumila Madejkowa”. Całością kierował zagraniczny specjalista o nazwisku „Luciano Vuot-Covsko”. Jakkolwiek było to wydanie wewnętrzne, dotarło ono do szerszego grona naszych Czytelników, ponieważ udostępniłmy ów numer „Odgłosów” na uroczystości jubileuszowej w Klubie Międzynarodowej Prasy i Książki.

Ostatnio specjalizuje się w dodatkach nadzwyczajnych redakcja czasopisma „Karuzela”. Trudno tu jednak mówić o wydaniu specjalnym, ponieważ te druki są integralnym składnikiem całego (ogromnego) zresz-

tą nakładu pisma. Dla potomności jednakże odnotować trzeba, że pierwszym tego rodzaju dodatkiem była primaaprilisowa parodia „Szpilek” — na dobrym poziomie, czego notabene niektórzy czytelnicy nie „kupili”, nadsyłając zdziwione listy do redakcji. Parodję „Szpilek” zrobiono bowiem jako... prezentację japońskiego pisma „Seppuku”. Mimo to jednak „Karuzela” wykonała parę następnych wkładek, z których największą popularnością cieszyły się wydania z okazji Mistrzostw Świata w Piłce Nożnej.

Ale to już — jak mawiał pan Kipling — zupełnie inna historia. W dziejach powojennej prasy łódzkiej najbardziej zbliżone charakterem do pierwszokwartalnikowych wydań Tuwima i Słonimskiego („Nowe Wiadomości Literackie”, „Pracownia Pszczółka”), są chyba te własne wewnętrzne druki „Głosu” i „Odgłosów” i ten — nieznanego autorstwa — dodatek „balowy” z roku 1962.

Na osobny felieton zasługuje także Teatrzyk „Karuzeli”, który przed laty wystąpił z bodaj dwiema premierami bardzo doświadczonego spektakli. Myślę, że i te dziennikarskie inicjatywy warto dla przyszłego historyka prasy odnotować.

WIDOK

ANDRZEJ GRUN

FRYZURY

Jaki
piękny
jest ten
świat



LEWYM
OKIEM

MACHANIE RĘKA

Spotykamy się często z twierdzeniem, że nasi rodacy są urodzonymi malkontentami, że gotowi są wszystko krytykować, ganić, wykiwać. Trochę racji w tym zapewne jest, zwłaszcza gdy za porównanie wzięć naszych bezpośrednich sąsiadów z Odry; już w zestawieniu z Francuzami wypadlibyśmy chyba jako szczyty radosnego optymizmu i twórczej aprobaty wszystkich, co niesie dzień powszedni. A znów jak się nie porównywać do nikogo, a za to notować w pamięci całe szeregi małych codziennych zdarzeń, to nie trudno byłoby dojść do wniosku wręcz przeciwnych: że jesteśmy gromadą nieskończenie potulną i cierpliwą, godzącą się bez oporu z każdą bzdurą wobec której czujemy się bezradni.

W pociągu z Warszawy do Łodzi zwraca się moja sąsiadka do konduktora, sprawdzającego bilety: — dlaczego jedna toaleta jest w ogóle zamknięta, a w drugiej nieopisany brud i brak wody? Na co pada spokojna i „rzeczowa” odpowiedź: — przecież pociąg idzie z Białegostoku. Trudno, żeby jeszcze woda była!

I już. I wszyscy przyjmujemy tę odpowiedź za wystarczającą, nikt się niczemu nie dziwi i nie obraża. W pociągach z Białegostoku nie może być wody, nie mogą być czyste toalety, Siła wyższa!

Autobus PKS odjechał z Warszawy do Przasnysza 3 sierpnia o 10.45, załadowany do ostateczności. Straciłmy trzy godziny w potwornej atmosferze dworca przy ulicy Żytniej, żeby zapewnić sobie i jadącej z nami starszemu miejscu siedzącego. Autobus dojechał do Jabłonny, po czym kierowca wysiadł, zapalił papierosa i z uśmiechem oznajmił, że wóz jest zepsuty. Siedemdziesiąt osób rozsiadło się na trawie, komuś się śpieszilo, więc się zdenerwował, ale go zaraz inni uspokojili radząc, żeby sobie kupił własny wóz. Kierowca przyjął ten dowcip z aplauzem i zapalił drugiego papierosa. Zapytaliśmy, co dalej? Dalej? A, będą jechać następne wozy, to się po parę osób zabierze.

Następne wozy będą za godzinę, dwie i trzy. Każdy z nich będzie przepełniony. Jeżeli nawet do każdego dopcha się po pięć osób, to już na pewno na stojąco na jednej nodze. Co zrobimy z naszą starszą? Po co było stać w kolejce? — A pociąg pan stał? — pyta drugi dowcipny. — Ja nie stałem, a jadę.

Kierowca znów się uśmiechnął i zapalił trzeciego papierosa. Pani, której się śpieszilo, namawiała go, żeby zadzwonił do Warszawy po zastępcę, wóz. Pytała też, dlaczego wozu nie sprawdzono przed puszczaniem go w drogę. Pasażerowie wyręczyli kierowcę wyjaśniając, że to nie jego sprawa. Faktycznie, według przepisów tak jest. A dzwonić po zastępcę wóz? Zobaczymy.

Po szóstym papierosie kierowca się zdecydował i poszedł gdzieś szukać telefonu. Niektórzy łapali co się dało, powiewiali pięćdziesięciotówkami i „zabierali się” na lebkę, machając ręką na kupiony już przecież bilet. Reszta — cierpliwie i potulnie — wsiadła po dwóch godzinach do przystanego wreszcie z Warszawy wozu. Mógł być nadjechać o półtorej godziny wcześniej, za to trzeba przyznać, że kierowca — gdyśmy odjeżdżali zostawiając go przy unieruchomionym wozie — pomachał nam uprzejmie na drogę.

W Łodzi po dwudziestu minutach czekania nadjeżdżają naraż dwa autobusy tej samej linii. Ten drugi luźniejszy, wsiadamy do niego. Po dwóch przystankach kierowca każe wszystkim wysiąść. Pierwszy wóz już odjechał. Wsiadamy cichutko i grzecznie, nikt nawet nie pyta o przyczynę, nikt też tej nie usiłuje wyjaśnić czy — nie daj Boże — przeprosić pasażerów. Wsiadamy i czekamy ponad dwadzieścia minut. Siła wyższa.

Kasjerka w aptece podlicza długą kolumnę cyfr. Kolejka przed kasą stoi cierpliwie, ojej, jak cierpliwie. Kiedy ktoś próbuje — „proszę panią...” — kasjerka przeciera okulary i zaczyna jeszcze raz. „Uciszymy się wzajemnie, żeby aby znów się nie pomyliła.”

Kasjerka w kinie „Zachęta” rozmawia w poczekalni z bileterem. — Seans już się zaczął — mówi. — Jak to, dopiero kwadrans po szóstej, a film zaczyna się o szóstej trzydziści.

— Bo w gazecie była omyłka. Film już leci.

Parę potulnych osób bez słowa wychodzi. Na naszą prośbę o bilety kasjerka idzie wreszcie gdzieś daleko, po paru minutach wraca i otwiera z trząskiem kasę. Film wcale się nie zaczął, jeszcze długo idzie kronika.

Koniec wyliczanki. Lekarz kazał się nie denerwować. To przecież głupstwa, nie? Uśmiechnąć się, machnąć ręką i spokój. Tylko że ręka już boli od tego machania.

MARCIN RODAK

ĆWIEK

ART BUCHWALD

PIŁKARZE PRZECIW ROBOTOM

Jako ukoronowanie wszystkich ekonomicznych i socjalnych niepowodzeń Stanów Zjednoczonych zastrajkowali piłkarze „Narodowej Ligi Futbolowej”. Choć wśród zagadnień omawianych ze strajkującymi poczesne miejsce zajmowały problemy zarobków, dyscypliny i stosunku chlebodawców do graczy — najważniejszą sprawą była automatyzacja.

— Piłkarz-zawodowiec — Bronko Volland zwierzył mi się:

— Nasi managerzy dają do zmniejszenia ilości graczy. Utrzymują, że nie istnieje obecnie konieczność wystawiania składów po jedenastu zawodników z każdej strony. Według ich słów roboty-automaty mogą prowadzić, rozgrywać i umieszczać w bramce piłkę większą niż przedtem, dzięki temu pracodawcy myślałby o oszczędności. Oczywiście, nie możemy się na to zgodzić. Przecież głośnie, że w drużynie musi grać jedenastu ludzi i będziemy się tego domagać!

Boss drużyny piłkarskiej Horacio Moldbet, prowadzący rozmowy ze zbuntowanymi zawodnikami i dający do zawarcia kontraktów na nowych warunkach, oświadczył:

— Nasi futbolisci już się zaudadno rozwydrzyli. Przecież w obecnych warunkach jest całkowicie nieuzasadnione z ekonomicznego punktu widzenia utrzymywanie jedenasto-osobowych drużyn. Przeprowadziliśmy odpowiednie badania, których rezultaty świadczą aż nadto wyraźnie, że łatwo będzie zastąpić obrońców — robotami. Jeżeli nie wdrożymy najnowszej techniki i nie zmienimy dotychczasowych reguł gry, niewątpliwie zbankrutujemy w najbliższym czasie.

I Moldbet zademonstrował robota tak zaprogramowanego, aby mógł spełniać wszystkie czynności wymagane od zawodnika.

— Możemy wypuścić na boisko po jedenastu automatycznych graczy z każdej drużyny, którzy rozegrają mecz w ciągu dziesięciu minut zamiast, jak dotychczas,

dziewięćdziesięciu — dodał z dumą.

— A czy gra nie utraci wtedy swojej niepowtarzalnej atmosfery, a co powinno być dla pana najważniejsze?

Najważniejsze są dla nas dochody. Jak wytłumaczyć akcjonariuszom, że obecnie w każdej drużynie występuje aż jedenastu graczy, kiedy ich pracę mogłoby wykonać pięciu? Proszę zresztą nie zapominać, że problem dotyczy nie tylko efektywnie grającej jedenastki, ale i zastępców, którzy w czasie spotkania przynajmniej widmo bezrobocia — wtrącił.

— Gwarantujemy, że żaden gracz nie stanie wobec perspektywy utraty posady w wyniku automatyzacji. Jedynie na wypadek poważnej kontuzji lub w wyniku wygaśnięcia kontraktu będzie można zawodnika zastąpić autorem.

Moldbet podkreślił również, że działa w interesie kibiców:

— Wydatki managerów rosną z

zastraszającą szybkością i jeżeli taka sytuacja utrzyma się, wcześniej czy później, trzeba będzie podnieść opłatę za bilety wstępu na mecze. Wprowadzając roboty, zagwarantujemy utrzymanie widowni w napięciu przy równocześnie utrzymaniu cen biletów na umiarkowanej wysokości. Ponadto, jeżeli uda się nam w ten sposób zaaranżować grę przy udziale pięciu graczy i sześciu robotów z każdej strony, będzie to stanowić poważny wkład w dzieło upowszechnienia sportu.

Kiedy wysłuchałem tej argumentacji, wróciłem do Bronko Volland, delegata zawodników i przedstawiłem mu racje Moldbeta.

— Wprowadza automatyzację, czy nie — rzekł na to kręcąc głową — a my nadal będziemy wysyłali na boisko po jedenastu graczy każdej drużyny i nie ścierpimy przeforsowania zmian regulaminu.

Tłumaczył:
BOHDAN PIĄTKOWSKI

ci, czego dowiedziałem się z Muzyki i Aktualności, którą teraz staram się słuchać regularnie, bo od momentu, kiedy uruchomiono stację nadawczą w Konstancynie koło Gąbina, moje stare radio gra jak nowe i w ten sposób zaoszczędziłem około 2000 zł, za co bardzo serdecznie dziękuję budowniczym tej stacji.

— Ale co było w tej Muzyce i Aktualnościach?

— Opowieść o pewnej pani z Warszawy, która złamała rękę i chciała zamówić sobie mycie okien i sprzątanie mieszkania.

— I zamówiła?

— Nie, choć wszystko wydawało się już na dobrej drodze. Okazało się jednak, że ona mieszka w starym budownictwie, ma ogromne okna, i jak przeprowadzi się do bloków, to odpowiednia spółdzielnia może, ewentualnie unieść jej okna.

— Wracam do domu i przeproszę żonę. Ona ma jednak rację. Zamiast czekać na zmilowanie specjalistów od mycia okien, lepiej to zrobić samemu. Cześć!

I poszedł, a ja teraz spacerując po mieście uważnie patrzę na cudze okna. Czasem uda mi się zobaczyć coś rzeczywiście interesującego, często jednak spotykam starszusków, godzinami wsiadających w oknach i patrzących przez szyby na boży świat, na swoisty film, który nie ma ani początku, ani końca, a którego reżyserem jest samo życie.

Żal mi jest trochę tych starszusków, ale wiem, że przywędrowali oni do bloków z małych domków, dziś burzonych

OKNO

Zagadka: Jak się nazywa urządzenie, które pozwala patrzeć przez ścianę?

Rozwiązanie: To urządzenie nazywa się okno.

Mała Encyklopedia nie podaje definicji okna. A szkoda, bo można byłoby na ten temat napisać sporo zupełnie interesujących rzeczy. Zwrócił mi na to uwagę pewien mój znajomy, który przyszedł do mnie pełen żalu. Znajomy jest myślicielem amatorem i lubi niezwykle skomplikowane rozważać o prostych tematach.

— Było ciepło — snuł swoje rozważania znajomy — dwa dni upalne i gruba pani w bloku naprzeciw, ubrana tylko w czarny stanik i czarne majtki zaczęła myć okna. I tak się zaczęło. Po niej okna myły już inne panie, aż wreszcie do okien wzięła się moja żona.

— Żadna praca nie hańbi — powiedziałem na to, aby coś powiedzieć.

— Zapewne, ale tu nie o pracę chodzi.

— A o co?

— O szczęście rodzinne — powiedział mój znajomy tonem pełnym gorczy. A widząc, że nie bardzo rozumiem wyjaśnił.

MAGAZYN

PEDAGOGIKA NIEUKLIDESOWA

Pisze do nas młody i szczęśliwy tatusi, pan Eustachy Poprawczak z Łodzi: „Mam pięciu synów. Wszyscy mieszkamy w jednym pokoju. Gdy któryś z synów jest niegrzeczny stawiam go do kąta. Ale co mam uczynić, jeśli cała piątka będzie niegrzeczna? Poradź!” W zasadzie odpowiadamy jedynie na pytania w sprawach filmowych. W tym wypadku, powodowani współczuciem, uczynimy jednak wyjątek. Radzimy wziąć obciężki i ścisnąć piętem synkowi paluszek.

APEL DO ENTUZJASTÓW
Kierownictwo Encyklopedii

Powszechnej PWN prosi za naszym pośrednictwem Wszystkich Tych, którzy gorąco i serdecznie interesują się filmem,

MAŁE KINO

„Najlepsze są te małe kina...”
K.I.G.

by nadsyłać swoje fotografie oraz dane personalne, celem zamieszczenia ich w następnych tomach tego przyjemnego

wydawnictwa. Niezbędny jest jednak podpis Gospodarza Bloku potwierdzający rzetelność odczytów zainteresowań. Niestety, wskutek nieporozumienia pierwszy tom Encyklopedii ukazał się przedwcześnie i obejmuje litery od A do F. Kierownictwo uznając własną winę zezwala osobom, których nazwiska zaczynają się od tych właśnie liter, na zmianę ich na następne, też przecież ładne litery alfabetu. I tak np. ob. Zenon Cienisty zamieni sobie na ob. Zenon Pienisty, ob. Bajda na ob. Wajda itp.

W MALINOWYM BORZE

W lasach Bośni i Hercegowiny

ny wczasowicze — grzybiarze przypadkowo odkryli Śpiewaka Nieznanego. Wyskoczył on spłoszony z maliniaka, ukłonił się i zaśpiewał „Szła Karolinka” po jugosłowiańsku. Potem grzecznie przeprosił zebranych i pobiegł na festiwal w Sopocie.

HISTORIA BAWI I UCZY

Sabina, żona pana Franciszka Zegarynki z Plaskiej Powiatowej, oświadczyła po obejrzeniu filmu „Gniazdo”, że gdyby miała zdradzić męża, to tylko z Mieszkim Pierwszym. Pan Franciszek cieszy się, bo nie żyje za czasów tego wielkiego władcy i prosi o film o Dąbrowce, pragnąc odgrzyźć się na żonie.

NASZA JEST NOC

Najnowsze badania naukowe wykazały niezbicie, że gdyby Telewizja Polska wprowadziła całonocny program rozrywkowy dla osób cierpiących na bezsenność, to nieszczęśliwi ci ludzie usnęliby po raz pierwszy bez najmniejszego wysiłku.

IZAAK BABEL

PRYSZCZEPA

Jadę do Lesznowa, gdzie zatrzymał się sztab dywizji. Moim towarzyszem podróży, jak dawniej, jest Pryszczepa — młody kozak z Kubania niezmordowany chłap, malowany komunistą, przyszły lump, bezpieczny syfilit, flegmatyczny kłamec. Ubrany w malinową czerkieskę z cienkiego sukna i w puchowy baszlyk zarzucony na plecy. Po drodze opowiadał o sobie...

Rok temu Pryszczepa uciekł od białych. Z zemsty wzięli jego rodziców, jako zakładników i poprzez ludzi z kontrwywiadu zlikwidowali. Cały dobytek rozdrapali sąsiedzi. Kiedy białych wypędzili z Kubania, Pryszczepa wrócił do rodzinnej stancji.

Był ranek, świt, chłopski syn wzdychał w kwaśnym zaduchu. Pryszczepa oporządził państwową furę i poszedł po stancję zbierać swoje gramofony, dzbany do kwasu chlebowego i powieszane przez matkę ręczniki. Wyszli na ulicę w czarnej burce, z krzywym kindziałem za pasem; fura wlokła się z tyłu. Pryszczepa chodził od sąsiada do sąsiada, krwawe odciśki jego stóp ciągnęły w ślad za nim. W tych chałupach, gdzie kozak znajdował rzeczy matki, albo cybuch od fajki ojca, zostawiał pokute stare baby, powieszane nad studnią psy, ikony zbeszczeszczone pomiotem. Mieszkańcy stancji, pociągając z fajki, ponuro śledzili tę drogę. Młodzi kozacy, rozproszeni w ściepie, podsumowywali ten krwawy rachunek. Liczba jednak rosła, a stancja mileżała. Skończywszy, Pryszczepa wrócił do pustego ojeowskiego domu. Poustawiał odebrane meble w takim porządku, jaki zapamiętał z czasów dzieciństwa, i poszedł do wódki. Zaryglowawszy się w chałupie pił dwa dni, śpiewał, płakał i rwał szablą stoły.



Na trzecią noc stancja zobaczyła dym nad izbą Pryszczepy. Osmalony i w podartym ubraniu, szybko przebiegając nogami, wyprowadził ze stójki krowę, wsadził jej do pyska rewolwer i wystrzelił. Ziemia dymila pod nim, błękitny pierścien płomieni wyleciał z komina i rozpiął się, w stajni zaszlochął pozostawiony byczek. Pożar promieniał, błyszczał jak niedziela. Pryszczepa odwiązał konia, skoczył na siodło, rzucił w ogień pęk swoich włosów i przepadł.

Tłumaczył: ROMAN GORZELSKI

WSPOMNIENIA KARIN STANEK

U SZCZYTU POWODZENIA

(Dalszy ciąg z poprzedniego numeru)

(Dalszy ciąg z poprzedniego numeru) Dowiedziałam się, że płaszcz jest zrobiony z labeckiego puchu i waży zaledwie kilkadziesiąt dekagramów, a wartość jego wynosi około... 4000 dolarów. Natomiast wartość sukni — 8000 dolarów. Dla mnie to były sumy astronomiczne — zresztą chyba nie tylko dla mnie?

Po tych wspólnych występach pozostała mi na namiotkę wycieczka „Przekroju” karykatura, składająca się z dwóch obrazków — na jednym Marlena Dietrich z publicznością, a na drugim ja i publiczność.

W tym chyba czasie, nie pamiętam już w którym miesiącu, po koncercie dostałam od młodej dziewczyny laleczkę. Miała czarne włosy zaplecione w warkoczki, grzywkę, ubrana była w bluzkę i spodnie — i nazwana „KARIN”. Myślałam, że zrobiła to specjalnie dla mnie, ale ku mojemu zdziwieniu zaczęłam dostawać i w innych miastach takie same laleczki. Okazało się, że laleczki „KARIN” pochodziły z masowej produkcji i można było je dostać we wszystkich kioskach

„Ruchu” i w sklepach z zabawkami. Było to dla mnie ogromnie miłe, że sprzedawano moje miniaturki w takich ilościach, sama zachowałam więc jedną z nich do dziś.

Potem przyszły kolejne festiwale. W Opolu śpiewałam różne piosenki, nawet już nie pamiętam w tej chwili na którym Festiwalu jakie, wiem tylko, że przeważnie wszystkie piosenki, które prezentowałam, stawały się w krótkim czasie przebojami. Większość piosenek pisali teraz dla mnie koledzy

z zespołu. Pamiętam, że w 1967 roku została napisana dla mnie żywa, rytmiczna piosenka na Festiwal w Opolu. Niestety, tak się złożyło, że miałam w tym czasie egzamin w szkole, nie mogłam więc przyjechać na próbę. Ponieważ zespół miał już wszystko przygotowane do próby, więc zamiast mnie, spróbowała tę piosenkę Kasia Sobczyk. No cóż, czasem tak bywa, nie pierwszy raz zresztą miałam pecha. To była piosenka „Trzynastego”, z której Kasia zrobiła w Opolu wielki przebój i za którą otrzymała nagrodę Towarzystwa Przyjaciół Opoli.

Mnie wtedy przypadła w udziale „na piosenka, która widocznie nie była tak dobra jak „Trzynastego”. Ale ja nigdy nie martwiłam się takimi sprawami i tak potrafiłam w każdej piosence zrobić doskonałą za-

bawę z publicznością i nigdy nie mogłam narzekać na złe przyjęcie.



W prasie z tego okresu znalazłam „Poczet królowych polskich”. Tak zatytułowany został

kapitałny rysunek — karykatura, na którym widnieją trzy królowe: Kalina Jedrusik, mająca w herbie piekna nogę na szpileczce, Karin Stanek z „Malowaną lalą” w herbie i Teresa Ciepla z pięcioma kółkami olimpijskimi.

Po festiwalach w Opolu i Sopocie, jesienią 1964 r. „Czerwono-Czarni” zostali zaproszeni do programu telewizyjnego w Albieku.

A więc czekał mnie wreszcie wyjazd za granicę, miałam wystąpić przed zupełnie nową publicznością, dla której ja również nie byłam znana. Cieszyłam się z tego wyjazdu, było to wreszcie coś nowego, czekała mnie przygoda.

(c.d.n.)

Opracował:
A. KRYSZKIEWICZ

NAJLEPIEJ

W

CZASIE

WAKACJI



KUPIĆ DZIECIOM UBRANIA SZKOLNE

DO SWOICH SKLEPÓW ZAPRASZA ŁÓDZKIE PRZEDSIĘBIORSTWO TEKSTYLNODZIEŻOWE

Wydawca: RSW „Prasa-Książka-Ruch” — Łódzkie Wydawnictwo Prasowe w Łodzi Adres redakcji: ul. Piotrkowska 76, kody poczt. 90-950 i 90-103, telefony 244-79, 217-98 oraz 293-00 wew. 29, 39, 40 i 41 Warunki prenumeraty: miesięcznie 12 zł kwart 36 zł Redakcja nie zamawia rękopisów nie zwraca, zastrzega sobie również prawo skrótu Prenumeratę przyjmują wszystkie placówki pocztowe, listonosze oraz PUPiK „Ruch” — z zaznaczeniem na „Odgłosy” Druk: Zakłady Graficzne RSW „Prasa-Książka-Ruch”, Łódź, ul. Armii Czerwonej 28, Zam. 1803. C-4. Nr indeksu 37006